

Egzemplarz numer 24 (przedostatni)

(C.D. ZE STR. 1)

języcznych sztuce poetyckiej. Po-
ezja ma być mową odświętną,
niezależnie od tego, jakim ję-
zykiem się posługuje. Czytamy
o tym wprost:

Poezja — to jest święto,
niczym miłość —
nie paplanina o głupstwach
domowa;
(tłum. W. Woroszyńskiego)

Można by pokusić się o
określenie zasadniczego tonu
tego głosu. Najpierw więc
świat wypowiadany jest z hu-
morem. Potem dopiero zabar-
wiony ironią, drwiną i gory-
czą, które nigdy jednak nie
dochodzą do granicy krzyku.
Lina Kostenko dla swej re-
fleksji wybiera okolice ciche
i mówi w ten sam sposób.
Nie wykluczając wszakże od-
cienia powściągliwej kokieterii
obecnej w erotykach i nieco
przypominającej Pocatunki
Jasnorzewskiej, którą zresztą
tłumaczyła na ukraiński. Po-
dobieństwa dotyczą także po-
jawiających u obu poetek mo-
tywów „opuszczonej”, „nie ko-
chanej”, ale i szerszej — kon-
cepcji świata oswojonego
przez żart. Tutaj humor to już
nie tylko sposób odnajdywa-

nia świata, ale także umiejęt-
ność radzenia sobie z jego
przejawami tak, by nie podda-
wać się rozpacz. Powiedział
kiedys Jerzy Kwiakowski
przy zupełnie innej okazji:
„umiejętność zachowania dy-
stansu, obiektywizacja, uczu-
ciowa dyskrekcja i powściągli-
wość, spokojna lakoniczność i
żartobliwa drwina (...), wsty-
dzący się samego siebie, au-
toironiczny, prześmiewny —
heroizm”. Wszystkie te określe-
nia dotyczą poezji Wisławy
Szymborskiej, a przecież dzi-
wnie dobrze charakteryzują i
Linę Kostenko. Różnica jest
taka, że to, co u pierwszej
przechodzi na stronę błaze-
ny, druga zatrzymuje na gra-
nicy humoru. Zwróćmy uwa-
gę: to wciąż krag tzw. poezji
kobiecej.

Z jednej strony więc poe-
zja ta widzi świat nieja-
ko z dwóch perspektyw: ze-
wnętrznej (z dystansem) i we-
wnętrznej (z zaangażowaniem);
Linę Kostenko prowadzi to
wyraźnie w pobliże neoklasy-
cyzmu; z drugiej — częste
przesunięcia optyki z tego co
ogólne, na to co zawarte w
szczegółu, ujawniają spójność
świata w każdym jego wymia-
rze. A wszystko układa się
jak gdyby w mozaikę zata-

czającą coraz szersze kręgi po-
znania. Przy czym nie ma tu
elementów mniej lub bardziej
ważnych. Zagubienie jednego
uniemożliwia złożenie świata.
Sam zaś świat chce być zor-
ganizowany koncentrycznie:

Patrzę na iglicę meczetu.
Czuję
Spokojny Ziemi ruch dokoła
Słońca.
Ziemia umiała wybrać sobie
gwiazdę.
Gdyby tak uszczknąć trochę
jej mądrości (...)
(tłum. L. Engelking)

W makrowymiarze ujawnia
się jako „Wszelświat —
akwarium planet”, w mikro-
wymiarze — jako dom dla
człowieka wzniesiony na Zie-
mi „z nieba, chmur i wolno-
ści”:

Widnokrąg dla człowieka
stanowi dobrą powagę.
Podnosisz w górę głowę —
i nie uderzasz się w ciemność.
(tłum. J. Waczków)

W tak urządzonym domu
bywają różnorodne spotkania.
Tym dziwniejsze, im więcej
świata, zwykle wykluczonego
z dialogu, ulega ożywieniu:
Pachną miodem
bursztyny-promienie,

więc gramoli się wieczór
do miodu
przez horyzont, jak przez
ogrodzenie.
(tłum. L. Engelking)

Mamy także inne niezwykle
zblżenia:

Aż do ziemi
zgięta przez wiatr z pola
wierzba kłęka na omszały
kamień,
zdarzysz korę z chropowatych
kolan.
(tłum. J. Pleśniarowicz)

W zdarzeniach tych nie bie-
rze zwykle udziału człowiek.
Zapewniają go one jednak, że
w swoim domu nie jest sa-
motny... Wreszcie — bywają
i inne wizyty, zaświatowe:

Wczoraj w ulewę przyszedł
do mnie Blok —
bliski do łez, realny:

mokrowłose.
(tłum. J. Waczków)

Ale nawet i takie spotkania
nie wprowadzają rozgardiaszu.

W ten sposób znaleźliśmy
się nie tylko w centrum
własnego Domu-Swiata,
lecz także w centrum ukraiń-
skiej współczesności. Możemy
bowiem być dziś świadkami
spotkania trzech pokoleń ukraiń-
skich twórców: pierwsze z
nich utraciło prawie wszyst-

kich swych pisarzy (1917—
1933), wchodząc do historii
pod nazwą „rozstrzelanego od-
rodzenia”; drugie — pokole-
nie „szludziatki” — pod-
legało już skutecznej „redu-
kacji”, wypełniając obozy
GULAG-u i zyskując miano
„uduszonego odrodzenia”. Cho-
ciaż jego część, w tym i Lina
Kostenko, kosztom różnorod-
nych kompromisów, uczestni-
czyła jednak w oficjalnym
życiu literackim. Pokolenie
najmłodsze, poezja lat 80.,
weszło do literatury już
otwartymi drzwiami, aby
ustosunkować się do całego
dziedzictwa dopiero teraz pu-
blikowanego oraz do wydarzeń
współczesnych, naznaczonych
tragedią Czarnobyla.

Czy tej, tak uważnie kon-
struowanej poezji Liny Kos-
tenko nie rozgniecie — jakby
powiedział Herbert — zwarty
peleton nadiągający z tyłu?

Lina Kostenko, Wiersze, wybór
i postowie Aleksander Ziemi-
niakowski, przekłady z języka ukraińskiego
L. Engelkinga, J. Waczkowa, W.
Woroszyńskiego, A. Ziemi-
niakowskiego, ISKRY, Warszawa 1990.

AGNIESZKA
KORNIEJENKO

Co nowego w prasie?

„Triumf i niepewność: pol-
ski katolicyzm lat osiemdzie-
siatych” pod tym wymownym
tytułem Zbigniew Nosowski
zastanawia się w 7-8 n-rze
WIEZI nad aktualną sytuacją
Kościoła. Triumf, jego źródła
i wyznaczniki są oczywiste,
zajmijmy się więc niepewno-
ścią. Zdaniem autora wystę-
puje ona na wszystkich szcze-
blach życia Kościoła (...). Bi-
skupi chcą podeprzeć nowy
ustrój, czują się w obowiązku
to zrobić, ale są też zaniepo-
kojeni (...). Jak dawać profe-
tyczne świadectwo w nowej
wolnej Polsce? Na to pytanie
naprawdę nie jest łatwo od-
powiedzieć, dlatego znaki za-
pytania, niepewność, brak ja-
sności postulowanej wizji
przyszłości. (Z. Nosowski
przytacza tu np. stosunek do
bezrobocia, które według spo-
łecznej nauki Kościoła jest
złe, ale w dokumencie Kom-
isji Episkopatu określone zo-
stało jako „czasowe lekar-
stwo”, gorzkie lecz skuteczne,

co przypomina myślenie w ka-
tegoriach mniejszego zła, oraz
list o etosie pracy, w którym
pisze się o braku pieniędzy
na placę sprawiedliwą). Klu-
by Inteligencji Katolickiej są
w tej chwili wyciszone, wręcz
jakby wystraszone. Oddają
pole superkatolikom, bardziej
papieskim od papieża, zwol-
nienikom hurrachrześcijań-
stwa (...). Nie sposób wrzenie-
nie wspomnieć o niepewności
tych wierzących, którzy —
zdziwieni — czują, że muszą
odpowiedzieć „raczej nie” na
pytanie o ocenę działalności
Kościoła.

Miesięcznik LITERATURA
(nr 8-9) zamieszcza obszerną
rozmowę Józefa Barana z
Anderssem Bodegardem (lat
47), tłumaczem na język
szwedzki literatury polskiej,
m.in. książek Gombrowicza,
Szymborskiej, Zagajewskiego
a także Michnika, Tischnera,
Torańskiej, Wałęsy. Zna-
mość z Polską Bodegard za-
dzierżgnął w warunkach dość

dramatycznych: przyjechał tu
jako lektor w r. 1981 i prze-
bywał w ciągu dwóch pierw-
szych lat stanu wojennego.
Śpiewał wówczas w krakow-
skim Akademickim Chórze
„Organum”, bo, jak mówi,
wtedy nic nie można było le-
galnie robić prócz śpiewania.
W chórze śpiewali sami ka-
tolicy. Ja im mówiłem, że
nie „nawróciłem się” na ka-
tołicyzm, lecz oni mnie przy-
jęli. Opinie tłumacza na te-
mat literatury polskiej w
Szwecji są powściągliwe. Nie
ma się czym chwalić. Lepsza
i szersza współpraca między
pisarzami polskimi i szwedz-
kimi zdarzała się przed r.
1968. Dotyczy to także filmu
i malarstwa. (Bodegard wy-
mienia tu Andrzejewskiego,
Różewicza, Herberta jako
twórców modnych wśród poe-
tów szwedzkich, przede wszy-
stkim zaś Gombrowicza, któ-
ry odegrał dużą rolę wśród
ludzi zajmujących się litera-
turą.) Potem to minęło. Wła-
tach osiemdziesiątych niewie-
le się działo. Kto tu jest zna-
ny? Mrozek, Lem, Mitos, Ko-
lakowski, Zagajewski...

W rozmowie z tłumaczem-
chórzystą najwięcej miejsca
zajmują bardzo dokładne in-
formacje o sytuacji bytowej
szwedzkich pisarzy, o funk-
cjonującym tam systemie sty-
pendialnym (jedną z wielu
form stypendialnych polega
na wpłacie przez biblioteki
publiczne na rzecz funduszu
pisarzy drobnych kwot za
każde wypożyczenie książki),
o działalności wydawniczej.
Zwłaszcza te ostatnie infor-
macje są interesujące dla pol-
skiego czytelnika: Państwo
dofinansuje tylko częściowo
i niektóre książki (...).
Prawie każda książka polska
otrzymuje taką subwencję (...).
Jest ogromna przewaga książ-
ek amerykańskich. Zda się,
że stanowią one 85 proc. książ-
ek zagranicznych. Stosunko-
wo mało widzi się książek
niemieckich, francuskich. Dla-
tego jeśli chodzi o książkę,
która ma wartość literacką
czy inną, to normalnie do-
staje subwencję. Szymborska
dostała, Zagajewski dostał.
Bez tego byłoby jeszcze trud-
niej wydawać, bo nie było
ani jednego bestselleru z li-
teratury polskiej w Szwecji.

Kultura i polityka

GEST

Jacek Woźniakowski

Swój smutny reportaż z Li-
twy (TP nr 39) Józefa
Hennelowa zakończyła
zdaniem o głębokim przygnę-
bieniu, w jakie wprowadziła ją
wiadomość, że Lech Wałęsa
nie zdecydował się na spotka-
nie z Vytautasem Landsber-
gisem, gdy ten w drodze z
Nowego Jorku zatrzymał się
w Warszawie.

Przeczytałem gdzieś, że na
negatywną decyzję Wałęsę
wpłynęły rygory protokołu
dyplomatycznego. Oczywiście
jeszcze mocniejszy wpływ
miał musiał być bardzo niefor-
tunne pociągnięcia Litwinów
wobec mniejszości polskiej na
Litwie.

Nie znam się ani na proto-
kole dyplomatycznym, ani na
ukrytych finiszach naszej po-
lityki zagranicznej. Ale po-
dzieliłem w pełni przygnębie-
nie Józefa Hennelowej. Bo pe-
wien jestem jednego: że
prawdziwych przyjaciół po-
znaje się nie w protokołar-
nych uśmiechach i uściskach
dłoni, tym bardziej nie w pro-
tokolarnych nieuprzejmo-
ściach, tylko w biedzie. Za-
równo w stosunkach między
ludźmi jak i między naroda-
mi nie sztuka podtrzymać ko-
goś, kto stoi mocno na dwóch
nogach. Ale do indywidualnej
i do zbiorowej pamięci prze-
chodzą gesty spontanicznej
pomocy, udzielonej na czas
komuś, kto ma kłopoty.

Litwa jest, jak wiadomo,
krajem mniejszym od Polski
i mniej ludnym, nie więc
dziwnego, że jej wrażliwość
czy może drażliwość jest
większa. Toteż w atmosferze
wzajemnych, częściowo chy-
ba trafnych, zarzutów, wy-
chodzenie naprzeciw należy
przede wszystkim do nas.
Tym bardziej, że Litwa wybiła

się na niepodległość później
od Polski. Ale stało się to
dzięki heroizmowi tych zwla-
szcza katolików litewskich,
którzy odważyli się masowo
podpisać list do Breżniewa,
domagający się wolności, a
także wielu innych Litwinów,
którzy krwią własną tę wol-
ność narodu pieczętowali.

Prezydent Rzeczypospolitej
na pewno nie stoi ponad pra-
wem, na pewno jednak nie
jest niewolnikiem protokołar-
nych regulek. Lecha Wałęsę,
który tak sobie ceni niekon-
wencjonalną bezpośredniość,
byłoby chyba stać na to, by
wsiadł w auto, pojechać na
dworzec, zaprosić Vytautasa
Landsbergisa na kawę i po-
wiedzieć mu w cztery oczy,
że doprawdy nie ma sensu za-
czynać nowego okresu historii
obu naszych narodów od de-
sów, sporów i krzywd: że ko-
niecznie trzeba się dogadać.
Taki gest, zgodny z jeszcze
żywą podobno tradycją pol-
skiej gościnności, zostałby
wznieśliwie przyjęty i stwo-
rzyłby klimat zupełnie inny
niż burmieszenie się.

Niechaj więc nie zacznie tu
opowiadać o skuteczności in-
nego zupełnie, choć także po-
zaprotokolarnego, słynnego ge-
stu Józefa Piłsudskiego: „Pa-
nie Waldemaras, wojna czy
pokój?” Po pierwsze Wałęsa
to nie Piłsudski, po drugie
Landsbergis to nie Waldema-
ras, po trzecie rok 1991 w
Warszawie to nie rok 1927 w
Genewie, po czwarte wojna
powątpiewać w skuteczność
na dłuższą metę takich ge-
stów, jak ów gest marszałka.
Nie sposób natomiast wątpić,
że każdy autentyczny oddech
mądry wielkoduszności, każ-
dy prosty gest przyjaźni daje
w końcu plon stokrotny.

Perepelnicki park

Beata Obertyńska

Wspomnienia Beaty Obertyńskiej pod tytułem „Perepelniki”, skład pochodzący z prezentowanego fragmentu, nie były dotąd publikowane. Liczący 7 rozdziałów maszynopis zachował się w ottawskim archiwum poetki. Według pierwotnego zamysłu „Perepelniki” miały być zamieszczone w tomie: M. Wolska, B. Obertyńska „Wspomnienia” (Warszawa 1974).

(W.L.)

Jak już raz gdzieś wspominałam, najbliżej, najmroźniejsze tygodnie roku, babcia Padlewska¹ spędzała zazwyczaj w domu.

Zimy po dworach, tego zwłaszcza pokroju co perepelnicki, bywają w zasadzie bardzo do siebie podobne. Pamiętam zresztą jakieś strzępki wspomnień o nich ciotki Anioł. Czasem niki, zasłyszany szczegół, jest jak ten w wodę rzucony kamień: sam przepada, ale budzi na powierzchni wyobraźni szeroko rozrastające się koła... To też dziś, znając na pamięć rozkład domu i ówczesną załogę dworu, mogę sobie całkiem łatwo odtworzyć nastrój tych śniegami po szyję zaspanych, babcinych tygodni.

...Opalało się więc tylko zamieszkałe pokoje, z „wujciowym” włącznie, bo ten zastępował teraz jadalnię. Mchem uszczelnione okna budziły się rano białe od zamrozu, a podwójne drzwi z salonu na ganek, upchane były słomą i liśćmi... Salon — nareszcie — zdejmował „zielone okulary”! Wysoko aż pod sufit podnosił białe brwi lambreków i patrzył sobie swobodnie w bezruch zimowego parku, pomiędzy poszarzałe na tle śniegu kolumny ganku... Płytsza, bo rozglądana biała, głab ogrodu była teraz szybem, po dalekie nawet ścieżki widoczna... Krótki, zimowy, od obu stron kurczący się dzień rozleniwia i usypia... Robota się nie klei, a nawet nie bardzo wiadomo o co ręce zahaczyć? Póki jasno — cóż? gazeta, książka, jakiś list... Przy lampie już, pod wieczór — może pasjans? Jeszcze przed samym spaniem znajomy, usypiający pomruk samowaru na stolyczku i zapach świeżo parzonej herbaty — a potem już tylko psami obszczekiwana, biała, ogromna noc...

I takie tygodnie — i takie miesiące...

Aż nareszcie — odwilż! Roztopy — topiel czarnego, podolskiego błota — kilka nad wyraz ciężkich, corocznie powtarzających się tygodni — póki się świat nie opamięta — nie spłynie i nie zacznie schnąć...

A co już potem umie wyprawiać taka podsuszona wiosna, kiedy dech odławawszy da nura w stary, drzewiasty, krzaczasty, ku słońcu nachylony park — wiadomo!

Cudowny, nienasycony, niepowstrzymany pośpiech! I wszystko naraz — ptaki — krzaki — zapachy — zielen — po prostu szal! Jakby każdego roku działo się po raz pierwszy i miało być ostatni!

Jeszcze nie ma prawdziwych liści — a jest już słowik! Jeszcze nie ma na prawdę ciepłych nocy, a już krzakom bzu fiolekt zaczyna podsiąkać do gardła! Ani się kto opatrzy — przekwitnie kwiecień — maj — i czerwiec zaczyna nadnosić od dalekości zapach siana, a noce duszne się staną od jaśminu...

Bo perepelnicki park aż białiał od nich nocami. Nawet po ciemku! Przez cały czerwiec, nawisy jego bieli znały niktym jaśnieniem kręte, krzyżujące się po parku ścieżki. Toteż zapach ich był dominantą każdej ciepłej, świetlikami podsypanej nocy.

A potem z kolei — lipiec i lipy! Miodne, stare, spiętrzone tuż przed dworem, pełne złotego kwiatu pod skrzydłami — te prosto w oczy oknom dworu patrzące lipy!

A pod lipami stół. Kamienny, omszały, zawsze chłodny i nasiąkły wilgocią... Latem lipy zasypywały mu futro skrzydlatymi nasionkami — w jesieni suchym liściem... Nie pamiętam przy

nim błędu żadnych zasiadów. Nikomu nie służył. Po prostu — był!

A zaraz za nim słoneczna przestrzeń wielkiego trawnika — a za trawnikiem park — park — park...

Ten kto kiedyś park ten zakładał musiał mieć wyobraźnię „na wyrost”. Wiedział jak będą wyglądać grupy dorosłych drzew, i to już wtedy, kiedy miał w ręce dopiero ich sadzonki... I wiedział, że choć go samego nie stanie, wszystko to — wparte korze-

kich lip! Była niska, krępa o bardzo grubym pniu. Miała też niskie, grube konary i niepomierne wielkie, doskonale okrągłe liście. Jednym takim jak nie nakryłbyś — jeśli nie półmisek — to talerz na pewno! Każdej też jesieni stała potem po kostki w złocie lekko jakby przysmażonych naleśników...

Naprzeciw ściany dworu, ale wciąż jeszcze w obrębie wielkiego trawnika, który — „prawym sierpowym” oskrzydlał tu dwór, dźwigał się kraglak wspaniałych, powłoczystych modrzewi. Dość widać blisko siebie ongiś posadzone, dziś już gałęzi w siebie zaplątane, tworzyły w tym kącie ogrodu odrębną samowystarczalną społeczność... Bardzo nawet żalonną społeczność... Bo w cieniu tych modrzewi krył się kamienny pomniczek, z żalonną urną na czworobocznym cokole. Wzniesli go tu w r. 1753 „Kazimierz y Wiktoria z Jerzykowiczów Pokutyńscy”, po śmierci ukochanego ojca (Stefana?) o czym opowiadał szeroko długi, napis zaczynający się od słów:



Rys. Aleksander Pieniek

„Dzień który okrył żalobą Dom Syna y Familje...” Reszta wdrapaną w łagodny piaskowiec wywijastym piśmem epoki, dziś jeszcze gotowa była opowiadać o tej na wpół zwietrzalej i z kamienia prawie już startej żalobcy...

Ze jednak życie po nikim żaloby nie nosi, za moich lat rozkładały się już wokół tego smutnego pomniczka niskie drzewka rajskich jabłuszek... Roztryśnięte kropliszcze na długich szypułkach śmiały się jasnym cynobrem, trochę może ni w pięć ni w dziewięć w

pobliżu smutnego kamienia... Były jakby na własne oczy dostrzeżona rozbieżność między smutkiem przemijania a umiejętnością cieszenia się chwilą — jak prześliczny, kolorowy nietakt pysznienia się zwycięstwem swego krótkiego „teraz”, wobec dawno umarłego, czyjegoś „już nigdy”... Nie wiem też czy kto kiedy odczytał i zanotował cały bardzo już przez czas zagładzony długi napis? Jeżeli zanotował — to i to zanotowane przepadło... Jak wszystko...

Park nie był wcale „utrzymany”. W najbliższym sąsiedztwie dworu puściły się oczywiście krzaki piwonii, georginii i róże przy drążkach — mniejsze i większe kłębki czegoś kwitnącego, im dalej jednak w głąb parku, tym wyraźniej rozplywało się wszystko w kompletnej, roślinnej swobodzie. Jedne jaśminy obrzeżające wszystkie prawie ścieżki, docierały w zwartym szeregu aż do świerkowej, ze sadem już graniczącej alei. Po drodze — tu i tam — trafiały się jeszcze niedobitki dawnych, sztamowych róż, ale takich, których się już nie brało w rachubę, chyba z łaski czasem, do bukieciów... Ale zaraz, tuż obok nich, zieleniała często trzeźwa, poręczkowa uliczka, jakby dla podkreślenia, że nie ma w tym ogrodzie „różnic społecznych” i że wszystko co tu rośnie, ma to samo prawo bytu. Inna rzecz, że tak pańskie róże, jak komisie poręczki nie zawsze chyba były w głębi parku szczęśliwe, bo nawet ścieżkom było tu czasem zbyt wilgotnie i cieniście...

Charakterystyczną cechą tych ścieżek była ich czerń. Nigdzie i nigdy nie widziałam już potem TAK czarnych. Kiedy przyszła pora jaśminów, na ziemię osypujące się ich płatki, emanowały jakby własną, matową poświatą... Stapało się wtedy w biały dzień, jak po opacznie czarnym niebie zasianym białymi gwiazdami.

Drugą osobliwością tych ścieżek były owe sławetne, napoleońskie ślimaki! Chodząc po parku o zmroku trzeba było uważać, żeby się na którymś z nich nie „przewrócić”. Rozlażyły się na dobre dopiero wieczorem. W dzień spały przylepione do pnia, do spodu ławek, do kamiennych stołów, bezbronnie, ufnie i jak już wspominałam — nie a nie obrzydliwe... Nieprzeliczona ich obecność w ogrodzie nie krępiała się jakoś (na oko przynajmniej) ani na kwiatach, ani na warzywach, jakby wilgoć i cień do istnienia najkompletniej im wystarczyły. Nikt ich nie niepokoił — chyba czasem my — dzieci — Uzbierane w koszyki i ułożone przez nas w wysoką piramidę, rozlażyć się potem musiały mozolnie w dowolnych, im tylko wiadomych kierunkach. Raz — pamiętam „starzy chłopcy” oblepili nimi wszystkie cztery kolumny ganku, jak wysoko mogli z ławek dosięgnąć — miejsce w miejsce — ślimak w ślimaka tak, że wszystkie cztery zmieniły się w szarofioletowe, pełne gruzłów i narodził mamucie jakby stepory... Dopiero kiedy się cały ganek zaczął się szklilić i lepić wędrowką ogłupiałych, z tropu zbitych, rozlażających się ślimaków, kazano chłopcom wybierać je, poodlepiać od wapna kolumn, ścian i ławek i wynieść napowrót do ogrodu... Cóż to musiała być za cudowna dla ślimaków chwila. Uczucie znowu mokro i zielono pod piętą!

Skończyłam już „osobliwości” parku, muszę jeszcze opowiedzieć szeroko i długo (bo warto!) o sławnej, perepelnickiej, cukrowej róży do smażenia.

Nie mam pojęcia skąd była rodem — jak matka jej była z domu, ani tego kiedy „wyszła za” Perepelniki? Dość, że była! I od dobrych kilku pokoleń musiała się rozrastać na obrzeżu słoneczniejszych ścieżek, bo tak prawie jak jaśminy, spotykało się ją tu wszędzie — była ciemnoamarantowa, o dużym, półpełnym kwiecie, bardzo ogładnie kołczasta i bujna jak niewybredny dziki ogrodowy chwast! Kwitła też bez pamięci... Miała zawsze w zanadrzu całe zatrzesienie pączków — tych już starszych, patrzących na świat szpareczką skośnego amaranthu — i tamtych malutkich zielonych i zupełnie jeszcze ślepych. Mszyce ni-

(C.D. NA STR. 18)

Poeta ulicy: Maciej Maleńczuk

Na marginesie „wysokiej kultury” i „wysokiej poezji” żyje sobie i tworzy **MACIEJ MALEŃCZUK**. Jako zjawisko narodził się w 1981 r. Wtedy to jako jeden z pierwszych w Polsce publicznie i ze świadomą ostentacją odmówił udziału w obowiązkowej służbie wojskowej. Przymusowo wcielony do ludowego wojska, nadal odmawiał, tym razem wykonywania rozkazów. Znalazł się więc na półtora roku w więzieniu. Przez Polskę przeszła wówczas głośna fala manifestacyjnych protestów młodzieży licealnej i studenckiej pod hasłami: „Uwolnić Maleńczuka” i „Czy Chrystus wzięłby kartę powołania?”

Rozmawia z nim **DOROTA TERAŁOWSKA**

● Ile ma Pan dziś lat?
— Trzydzieści.
● I nadal jest Pan poetą ulicy? Poetą buntu?
— Niech będzie.
● Przeciw czemu dziś się Pan buntuje?
— O rany! Chyba jest przeciw czemu! Przeciw upadkowi obyczajów, przeciw zachłanności wobec pieniędzy, przeciw fałszywemu religijnemu, przeciw terroryzowaniu dzieci przez rodziców lub szkołę, przeciw terroryzowaniu mnie.

● Kto Pana terroryzuje?
— Starcy.
● Tacy jak ja?
— Nie, nie wiem. Myślę o ludziach, którzy na wszystko mówią NIE. Ty masz pomysł, oni mówią NIE, bo ani twój pomysł im się nie podoba, ani ty. Oni są wszędzie: w domu, na ulicy, w urzędach, we władzy.

● A jednak zaczyna Pan odchodzić od ulicy i wchodzić na różne salony, do klubów i kawiarni. Czyżby uznał Pan, że pora zejść z ulicy, że nadchodzi czas stabilizacji?

— Nie, ale ulica była dobra za komunę. Na ulicy protestowało się przeciw komunę i wtedy było tam moje miejsce. Całe siedem lat, cały stan wojenny do 1989 roku byłem na ulicy z moją gitarą i śpiewałem.

● O czym?
— Ze mam kaca, że nie mam pieniędzy, że nie mam żadnej przyszłości. Ale teraz zmienił się ustrój, więc powoli schodzę z ulicy, bo na niej zostają wydrwigrosze. Ale ponieważ lubię śpiewać i chcę mieć dalej swoją publiczność, więc przemieszczam się do kawiarni i klubów.

● A może po prostu 30 lat to trochę za dużo na to, by być tylko na ulicy? Może marzy się Panu jednak normalna, konwencjonalna sława? Dlatego pragnie Pan wydrukować swoje piosenki w tak nobliwym, tradycyjnie pojmującym kulturę piśmienną, jak nasza „Dekada Literacka”?

— O rany, po prostu chcę się zaprezentować innym niż do tej pory ludziom! Chcę im pokazać co robię!

● Tym starcom?
— Czemu nie? Chciałbym, żeby oni też się obudzili. A zresztą można być starym i nie być starcem, jak Ginsberg, Cohen czy inni.

● A czego dotyczy pewność siebie starców?
— Wiary, że są kimś, że są w pewnych układach, że mają znajomych, którzy zawsze

ten układ podtrzymują i obronią, że nigdy się z tego układu nie wyleci i że ten układ jest coś wart.

● Jakże ma Pan wykształcenie?

— Zasadnicze zawodowe, jestem ślusarzem, a szkołę ukończyłem w więzieniu, wtedy gdy siedziałem.

● Nigdy nie ciągnęło Pana

do buntować się zawsze, do końca życia.

— Czy ma Pan jakieś głęboko skryte marzenie?

— O kurde... głęboko skryte?

● A nuż buntuje się Pan na ulicy, a w głębi ducha marzy o wydaniu tradycyjnego tomiku poezji w Wydawnictwie Literackim?



do zdobycia solidnego, tradycyjnego wykształcenia?

— Boże chroń! Każda szkoła, także ta wyższa, kojarzy mi się z próbą wyprania mi mózgu.

● Dla pewnej części młodzieży nadal jest Pan idolem...

— Dla małych. Oni mówią „Oooo, Maleńczuk... Maleńczuk był z policją, Maleńczuk rzucał kamieniami, Maleńczuk się upił...”

● Tymczasem Maleńczuk jest trochę za stary na takie tylko manifestacje buntu.

— To tylko zewnętrzność, którą oni widzą. Ale zamie-

to nie jest skryte marzenie, ale skryty zamiar. I nie tomik poezji, ale proza. Chciałbym napisać książkę o tym codziennym łażeniu z kąta w kąt, o rozmowach na trzeźwo, po pijanemu i na kacu, o włóczeniu się po zaułkach, o przepływaniu życia i o znakach naszego czasu w tym niby nicnierobieniu.

● Z czego Pan żyje?
— Ze śpiewania.

● To z tego można wyżyć w Pana przypadku?

— Do pewnych granic. Do granic mojej pozycji. Pozycji człowieka z marginesu społecznego.

● Czuje się Pan całowicie z marginesu?

— Jasne. Ale jestem z tego dumny.

Wiersze w dwugłosie z gitarą Macieja Maleńczuka

POSTACIE

Ścieżką wzdłuż blachy falistej
Przez druty kolczaste i papę
Dwie zgięte postacie jak widma
Zmierzają nocą w głąb działek

Lśni szaro folia w sinym nieba świetle
Kaleczą dłonie rdzawe druty
Stłoczone w klatkach stroszą swe kołnierze
Domowe gołębie jak symbol pokuty

Co symbol i w klatce — my wolni
I serca nam w ciszy łomocą
Dwie zgięte postacie jak widma
Pracują na działce nocy

Jest cicho, a w ciszy drży folia
Na stole z budowlanych dech
Spią dachy z dykty i malwa spokojna
Wygiętej siatki otula rdze

Spłazacza budka i liście wilgotne
I świt poprzez chmury już blisko
Stłoczone w klatkach stroszą swe kołnierze
Domowe gołębie jak symbol, jak symbol...

JÓZEF KANIA

Nigdy wcześniej nie widziałem niczego takiego
Józef Kania był znany z tego że miał go dużego
Dolarów nie znalazł choć szukali we trzech
Za to Kania nazajutrz przyszedł w czystym swetrze

Pani Maria nie była też dzierlatką nieletnią
Jej pierwszego jedynego zabił niemiecki najeźdźca
Józef stary nie był włosy miał kręcone
W komitecie blokowym w partii ustawiony

Te dolary co, były szybko się skończyły
Józef też jakby więcej pił był wtedy niemły
Lepiej by mi chyba było skoczyć z mostu
Niż do domu gada wpuszczać pani Zofio

Czas mijal na klótniach i monotonnych zwadach
Józef szybko się starzał szybko z sił opadał
Zdechł w końcu od wódki Bührera i kłamstwa
Został po nim zapach i legitymacja.

LUTY 1989

W lutym tak pięknie zachodzi słońce
Że piękniejszy chyba tylko wschód
Tak mocne są drzewa tak piękne dziewczęta
Długie cienie rzucają na bruk
Długie cienie rzucają na bruk.

Na rogu Floriańskiej znów grają Cyganie
Szatańskie nasienie jakże pięknie grają
Pijani spod „Żywca” kieszeń za kieszenią
Stuchając wypłaty szukają
Szukając wypłaty stuchają.

Drząc sący się sobota dziś sklepy zamknięte
Przed barem „Tempo” liczy się wycieczka
W obcisłych spodniach młode panny z wózkami
Strzelają oczami
Strzelają oczami.

Dziś puściej w kawiarniach bardziej w domu obić
Przy ścianie znajomy narkoman przemyla
Milicja policja którego dziś mamy?
Znowu rocznica
Znowu rocznica.

Na Floriańskiej w Sabat szczerz przebiegnie kanałem
Schizofrenia z bruku twarząkami mruga
Banalne melodie pięknie grają Cyganie
Sący się życia struga
Sący się życia struga.

O T O

OTO są ręce — byś zerwał owoc,
który zawiesiłem nad twoją głową.
OTO są oczy — byś mógł dojrzeć to i owo.
OTO jest nos — którym znajdziesz żonę.
OTO i ucho — na fałsz wyczułone.
OTO są usta — bo na początku było Słowo.
OTO twa pleć — niechaj zanadto cię nie drażni,
a wcześniej brzuch, który zaświadczy o twojej sile.
OTO są nogi — którymi ślad zostawiasz w pyłe.
A teraz pytam
A teraz pytam
A teraz pytam: Co zrobiliście?
OTO są ręce i przyklejony banknot do nich
OTO są oczy w mirażach szkielek rozbiegane
OTO jest nos wparty w szefa szynszylowy kołnierz
usta plotkujące stale.
A OTO ucho na usługach tanich
OTO twój brzuch gdybyś miał świadczyć o twojej sile
OTO są nogi i ślad twój w życia pyłe
Dokąd prowadzi?

Fragmenty III zbioru szkiców o zagadnieniach przekładu poetyckiego pt. „Ocalone w tłumaczeniu”. Książka ukaże się w bieżącym roku nakładem Wydawnictwa a5.

Z „MAŁEJ ANTOLOGII PRZEKŁADÓW-PROBLEMÓW”

STANISŁAW BARAŃCZAK

Осип Мандельштам (1891-1938)

Дрожжи мира дорогие

Дрожжи мира дорогие —
Звуки, слезы и труды —
Ударенья дождевые
Закипающей беды
И потери звуковые
Из какой вернуть руды?

В нищей памяти впервые
Чуешь вмятины слепые,
Медной полные воды —
И идешь за ними следом,
Сам себе не мил, неведом —
И слепой и поводырь.

12—18 января 1937. Воронеж.

ROZPOZNANIE: Tak się złożyło, że Achmatowa przebywała w Moskwie w gościnie u Mandelsztamów w czasie, gdy los poety był właśnie przedmiotem decyzji podejmowanych na odpowiednio wysokich szczeblach stalinowskiej władzy. Była też świadkiem arestowania swego przyjaciela, po całonocnej rewizji w mieszkaniu, rankiem 14 maja 1934 roku. Szczegółowy opis tej sceny i późniejszych wydarzeń zawdzięczamy Nadziei Mandelsztam. Aby zrozumieć, czego dotyczy i z jakiej sytuacji wziął się powyższy wiersz (jest to drugi z dwóch wariantów tekstu, zanotowanych w „Zeszytach woroneskich” Mandelsztama), trzeba znać przynajmniej w ogólnych zarysach przebieg wypadków, które wypełniły niecałe trzy lata dzielące moment arestowania autora od momentu powstania jego utworu. Najpierw więc było osadzenie w więzieniu na Łubiance, przesłuchania, przyznanie się poety do autorstwa wiersza o Stalinie, interwencje rodziny i przyjaciół, sławetna salomonowa decyzja Stalina: „Izolować, no sochranit”, której efektem stała się zamiana pierwotnego wyroku trzech lat łagrowych robót przy budowie kanału na trzy lata zesłania do syberyjskiego miasteczka Czerdyni. Potem: podróż małżonków pod konwojem do miejsca osiedlenia, pierwsze oznaki zaburzeń psychicznych u Mandelsztama, próba samobójstwa w szpitalu w Czerdyni. Wreszcie: ponowne, graniczące z cudem złagodzenie wyroku, polegające na udzieleniu parze zesłańców zezwolenia na zamieszkanie w europejskiej części kraju. Kolejnym miejscem osiedlenia staje się Woroneż, gdzie — w nędzy, osamotnieniu i narastającym zagrożeniu — Mandelsztam pisze swoje najlepsze wiersze.

To tło biograficzne jest nieodzowne dla pełnego zrozumienia sensu nawet tak elementarnych składników woroneskich wierszy Mandelsztama, jak poszczególne słowa (często np. pojawiające się samookreślenie „żebrak” nabiera większej wagi, również w płaszczyźnie symbolicznych znaczeń tej poezji, jeśli się wie, że dla autora nie była to wcale hiperbola, ale najzupełniej trzeźwe i dosłowne zdefiniowanie własnego miejsca wśród ludzi). Ale chodzi też o coś bardziej złożonego: o odpowiedź, jakiej w latach pobytu w Woroneżu Mandelsztam udzielał — językiem poezji — swojemu nie-szczęściu. Czytelnik, krytyk, a w

Mandelsztam udziela więc odpowiedzi w ogólnych zarysach podobnie jak Achmatowa, czyni to jednak innymi środkami. Gdy poezja Achmatowej zmierzała do bieguna prostoty i przejrzystości, liryki woroneskie pociągał raczej biegun komplikacji i zagęszczenia sensu. Najbardziej widowym tego przejawem jest orkiestracja dźwiękowa, która w wielu wierszach Mandelsztama z tego okresu urasta do rangi samodzielnej dominanty semantycznej. Nie znaczy to, że poszczególne dźwięki mają w takich sytuacjach jakieś swoje osobne znaczenie np. onomatopeiczne, niezależnie od znaczeń poszczególnych słów czy morfemów,

pod naszym adresem powiadomieniem. Powiadomieniem, które nam oznajmia, że Nicość i tym razem jeszcze nie zatriumfowała, że udało się ocalić coś z potopu.

ZADANIE: Biorąc to pod uwagę, należy tak przełożyć „Drożdże mira drogije...” aby niczego w tym wierszu przemocą nie ujednolicić, zarazem jednak — metodami organizacji dźwiękowej we współpracy z rytmem, metaforą, przekształceniami semantycznymi itp. — wydobyć na jaw, analogicznie jak w oryginale, pewien wewnętrzny porządek czy zasadę konstrukcji utworu. Szczególna rola przypadnie tu paronomazji umieszczonej już w pierwszym wersie („Drożdże — drogije”), dla której — co w tłumaczeniu z rosyjskiego na polski zdarza się znacznie rzadziej, niż by się można spodziewać — znaleźć odpowiednik jest w polszczyźnie akurat bardzo łatwo. Z innymi sprawami natomiast będzie trudniej. Co np. począć z układem rymów? Czy zachować pięciokrotny rym gramatyczny (drogije — dożdiewyje — zwukowyje” itd.), który w polskiej wersji mógłby nie uniknąć zarzutu monotonii i nawet prymitywizmu? Co począć z echami i paralelizmami dźwiękowymi, takimi na przykład jak to, że słowo „sledom” (śladem) w w. 3 od końca „odzywa się” swoim rymowym zakończeniem w słowie „niewiedom” w linijce przedostatniej i zarazem swoją pierwszą sylabą w słowie „slepój” w linijce ostatniej?

ROZWIĄZANIE:

Osip Mandelsztam

**DROŹDŻE ŚWIATA,
DROŹDŻE DROGIE**

Drożdże świata, drożdże

drogie —

Każdy dźwięk i iza i trud —
Biją we mnie troski wrogie
Niby krople wrzących wód,
Zagubione dźwięki błogie —
Z jakich je wydobyć rud?

Lśnią w pamięci twej ubogiej
Ślady kopyt w błocie drogi,
Rude zwierciadła wodne —
I ostrożnie stąpasz po nich,
Obcy sobie, niewiadomy —
Niewidomy i przewodnik.

rys. Aleksander Pieniek

najwyższym chyba stopniu tłumacz, jeśli chce znaleźć klucz do takich wierszy jak „Drożdże mira drogije...” — musi przyjąć, że nie tylko wypowiedziane w nich wprost niektóre stwierdzenia, ale i cała ich struktura stanowi odpowiedź reprezentowanego przez poezję Sensu na otaczający poetę Absurd, odpowiedź Spójności na Rozpad, Porządku na Chaos, Trwania na Zagładę, Wartości na Nic.

w których ramach się pojawiają. Chodzi raczej o to, że samodzielnym znakiem staje się w takich wypadkach dźwiękowa konstrukcja wiersza sama w sobie, wzięta jako całość. To, że wiersz został tak właśnie, a nie inaczej zbudowany z dźwięków mowy — sam ten fakt — staje się wysłanym

Jan Emil Skiwski – zdrada klerka

Maciej Urbanowski

ZDRAJCA

I. W historii Polski wielu było kolaborantów i zdrajców. Zdrajców prawdziwych, rzekomych i takich, których zdrady do końca nie jesteśmy pewni. Adam Gurowski, Stanisław Brzozowski, Józef Mackiewicz, Wanda Wasilewska...

O zdrajcy można zapomnieć. Lub powiedzieć, że nie był Polakiem. Z lekceważeniem napisać o jego płytkiej i nieciekawej osobowości. Albo próbować zrozumieć zdradę w w niejasnym przekonaniu, że proces, który wytaczamy zdrajcy jest, być może, tylko bezsilną odpowiedzią na wyrok, który wydał on na nas wcześniej. Czyż los pozwala nam odczytać szaleństwa minionych epok – bohaterów czy zdrajców?

II. Jan Emil Skiwski był zdrajcą. Nikt o tym nie wątpił. W listopadowym numerze z roku 1941 krakowski podziemny miesięcznik „Naród i Kultura” pisał:

„Zupełnie dla nas niezrozumiałe, niczym nieusprawiedliwione jest postępowanie Jana Emila Skiwskiego. Skiwski – jeden zresztą ze zdolniejszych polskich krytyków – objął stanowisko kierownika literackiego niemieckiej spółki z przybraną nazwą „Polskiego Wydawnictwa”.

W tymże wydawnictwie, publikującym nazistowską propagandę, Skiwski chciał opublikować swój powieściowy debiut, Czad. Dopiero werdykt swoistego sądu – Staff, Goetel, Irzykowski – skłonił go do rezygnacji z tego zamiaru. W tym czasie stał się przedmiotem otwartego bojkotu ze strony części środowiska pisarskiego; bojkotu, który zaczynał Jerzy Andrzejewski, kiedy odmawia podania ręki Skiowskiemu. Powodem są szokujące wypowiedzi tego ostatniego – otwarte pochwały faszyzmu i niemieckiej polityki w Polsce.

10 kwietnia 1943 roku J. E. Skiwski jest w pierwszej polskiej delegacji, która Niemcy zawoła do Katynia. Po powrocie publikuje w gadzinowym „Nowym Kurjerze Warszawskim” swoje wrażenia: „Byłem przygotowany na najgorsze, gdy rozpoczęłam podróż, ale to, co widziałem, to straszliwe oskarżenie bolszewizmu, przekraczające swą grozą najśmielszą fantazję”. Rok później nazwisko Skiwskiego widnieje pod tytułem wstępnym pierwszego numeru „Przełomu”. W swoich uwagach zatytułowanych Cena krwi pisał:

„Jednym z zadań naszego pisma jest poruszanie bez ogródek i bez ubiegania się o łatwą popularność spraw, które stanowią ognisko bólu naszego życia społecznego, a które z różnych względów nie są dyskutowane, głównie (...) ze względu na obawę przedstawienia się głęboko u nas zakorzenionym nalogom uczuciowym”.

Tym „nalogom uczuciowym” Polaków było przekonanie, że należy do końca walczyć z III Rzeszą. Skiwski wraz z przedwojennym publicystą Feliksem Burdeckim rozwijał w „Przełomie” ideę sojuszu z państwem Hitlera. Pisał, że Polska została zdradzona przez sojuszników i tylko za-

klamanie i brak odwagi nie pozwalają Polakom się przyznać do tego faktu. Klęska Polski to klęska myślenia ulegającego emocjom ulicy, pogardzającego intelektem, zachłanego w jałowym geście cierpiętnictwa. To wreszcie wynik braku wizji nowego państwa, uleganie mesjanistycznym złudzeniom i mocarstwowym mrzonkom. W takiej sytuacji rozum nakazuje zaprzestanie walki z Niemca-

zwana jest przez młodego narratorka haniebną zdradą. Tak myśli większość. Tylko poeta Wielgosz nazwie próbę Skiwskiego próbą myślenia realistycznego – niestety spóźnioną, a więc niepotrzebną, a więc głupią. Józef Mackiewicz ironicznie pisał, że „Redaktorzy pisma, które miało przełamać opinię polską, zmuszeni byli, wobec stanowiska tej opinii, przenieść swe osobiste życie w najgłębsze



Jan Emil Skiwski

mi. Inna droga jest szaleństwem – przegrana Niemiec oznacza koniec kultury. Skiwski nie miał złudzeń. Gorliwy czytelnik Bierdiajewa i Dostojewskiego już przed wojną wyznawał, że „Gdyby cały świat wyglądał tak jak Rosja opisywana przez Rosjan wolaliby umrzeć”.

Pisał więc do „Przełomu” artykuły atakujące niemal wszystkich – AK, Żydów, komunistów, aliantów; stał do sekretarza rządu GG Buhlera raporty na temat zadań niemieckiej propagandy wobec Polaków. Wolał:

„Trzeba przesunąć wskazówkę zegara! Musi się obrócić w kierunku największego dziś niebezpieczeństwa, które nadciąga ze wschodu. Nie rzucamy tych słów w czasie, gdy armia niemiecka zagrażała czerwonej Moskwie, lub kiedy sztandar ze swastyką powiewał na szczycie Elbrusa. Móvilimy to dziś, kiedy hordy Stalina jak stado zgłodniałych wilków harcują pod Tarnopolem. Nie może być namysłów. Wpuszczenie Sowietów w głąb Europy przez bramę polską byłoby nieodwracalne. Na to jedno nie ma lekarstwa w przyszłości”.

Redaktorzy „Przełomu” chcieli wywołać wrażenie, że pismo ma charakter nielegalny. Mogło to dezorientować, zwłaszcza, że nazwisko Skiwskiego miało autorytet przedwojennej popularności. W opinii ogółu jednak „Przełom” był tylko jedną więcej propagandową gazetką niemiecką. W Końcu legendy J. J. Szczepańskiego, opowiadaniu rejestrującym stan świadomości Polaków ostatnich dni wojny, działalność Skiwskiego na-

opublikował dwa tomy swoich rozpraw i esejów – Poza wieszczbiarstwem i pedanterią oraz Na przelaj – z których wiele czyta się dzisiaj z dużym zainteresowaniem i przyjemnością. O wyjątkowej w dwudziestolecie pozycji Skiwskiego decydowała opinia o jego niezależności. Jak pisali współcześni: „Nie mogą się do niego przynależać ani katolicy, ani narodowcy, ani socjaliści, ani tzw. niezależnie myślący”.

Krytycy – Fryde, Maśliński, Czachowski widzieli w Skiwskim reprezentanta postawy klerkowskiej. Inni jak S. Piasecki łączili epitet klerka z zarzutami o bezideowość albo „brak pionu”. Skiwskiego niepokoiły te opinie. W zarzutach widział dowód słabości życia umysłowego w Polsce, gdzie opatrywanie etykietami zastępuje własny stosunek do cudzej myśli. Próbowal też uściślić swoje rozumienie klerkizmu. Nie odrzucając go zauważał, że przez postawę klerka „rozumie się zazwyczaj jednostronne pojmowanie i kulturowany intelektualizm, poznanie, a nie działanie jako postawę zasadniczą”. Tak pojmowany klerkizm negował. Jego zdaniem współczesność wymagała, by klerkowskemu gestowi namysłu towarzyszył „dyktatorski” gest czynu i realizacji. Klerk „czynny”, „idący” winien być niezależnym od koniunktury intelektualnych, winien walczyć o spełnienie swego ideału kultury, pragnąć kształtować świat w myśl własnych wizji. Co charakterystyczne – te wizje winny negować i przełamywać powszechnie dzielone sposoby myślenia.

Skiwski dość szczególnie interpretował popularną ideę „Zdrady klerków” J. Bendy. Dla francuskiego pisarza klerk zdradził, ponieważ oddał się na usługi doraźnych i trywialnych pasji politycznych, zwłaszcza nacjonalistycznych rezygnując z roli strażnika wiecznych prawd intelektu. Dla Skiwskiego polityka nie jest wzbroniona klerkowi – o ile podkreśla jego nonkonformizm i nie poddaje się opinii ogółu. Klerk to przede wszystkim wieczny prowokator, obrońca prawd nieoczywistych. Stąd autor Na przelaj bronił Boya przed atakami Irzykowskiego i Brauna, aby po pewnym czasie krytykować twórcę Brzozowników.

rarchie wartości. Za pierwsze zadanie krytyki uważał „sprowadzenie” cudzych poglądów, rewidowanie ustalonych opinii, walkę z tym, co uważał za przesady intelektualne. Był w tym wiernym uczniem Irzykowskiego. W opinii Skiwskiego o sensie działania twórczego decyduje nie dogmat, lecz herezja. Pochwalał herezję jest pochwałą kultury, szczególnie w Polsce, „w społeczeństwie tak wyzbytym sumienia intelektualnego, a równocześnie tak chętnie dekurującego się w emblematy niezdolności (...)”. Taka krytyka „rewizjonistyczna” dość szeroko pojmowała swe kompetencje. Dzieło literackie interesowało ją jako dokument ducha jednostki i jego kultury, było też w pewnym sensie pretekstem dla krytyki do przedstawienia polemicznego, własnej wizji człowieka i kultury. Krytyka Skiwskiego świadomie wkraczała na obszary zastrzeżone dla publicystyki, obierając formę swobodnego szkicu, esaju, nawet felietonu. Co ciekawe, autor Na przelaj przywoływał wzory tak różnych ideowo pisarzy jak Z. Wasilewski i T. Boy-Zeleński.

Skiwski przyjmował więc w swoim piśarstwie postawę outsidera, zaznaczając ją już w tytułach swoich książek. Krytyk herezjarcha miał ambicję objęcia swym spojrzeniem całego życia kulturalnego i społecznego współczesnej mu Polski, pragnął opisać te zjawiska, których sensy i autorytety wydały mu się podejrzanymi i niepewnymi. Stąd wynika szerokość tematyki piśarstwa Skiwskiego, poruszającego problemy literatury, polityki, religii, kultury... Gdyby próbować objąć jedną formułą istotę sporów jakie ono wiodło, być może należałoby przywołać tytuł znanego tekstu Skiwskiego, który był zamieszczony na łamach „Wiadomości Literackich” i stanowił próbę krytycznej analizy twórczości Boya, „Życie ułatwione” to w opinii Skiwskiego ideał, ku któremu dąży Boy jako ideolog. Jego materializm, liberalizm, relatywizm i fizjologizm chcą budować świat na miarę człowieka „przeciętnego”. Istotę poglądów Boya stanowi bowiem według autora tekstu przekonanie, że w życiu należy się kierować zdrowym rozsądkiem, utilitaryzmem i podejrzliwie traktować raczej odwołujące się do wartości innych niż tych sprawdzalnych na gruncie codziennego doświadczenia. Skiwski bronił prawa do maksymalizmu i „idealizmu”, do ukazywania człowiekowi celów wykraczających poza horyzont wąskiej doczesności. Przypominając społeczne akcje autora Brzozowników, pisał:

„Zwolennicy życia ułatwionego umieszczają u szczytu drabiny wartości szczęście człowieka. Ale czyż właśnie nie obniżają wartości tego szczęścia, proponując swój system ułatwień. Zapomnieli, że człowiek lubi zdobywać swoje szczęście...”

Atakując Boya, Skiwski walczył z lewicowym i liberalnym dziedzictwem polskiej inteligencji. Krytyka ideologii „życia ułatwionego” stanowiła część walki autora Na przelaj o umysł polskiej inteligencji. Już wcześniej krytycznie pisał o dziele Zeromskiego właśnie dlatego, że wyrażało ono to, co najbardziej typowe i zarazem anachroniczne w tej warstwie społecz-

Fragment listu J. E. Skiwskiego pisanego na rok przed śmiercią:

„Moja praca literacka, jak ją oceniam. POMYJE – wybijam wielkimi literami, żeby nie było wątpliwości. Taki jest mój na nią pogląd. Wspominam ze wstrętem i ze wstydem to, że wydałem w życiu dwie książki napchane tymi okropnymi esejami. Nie mam najmniejszego przywiązania do tej pisaniny i myślę o niej ze wstrętem”.

cuje w bibliotece. Żyje w zapomnieniu i pogardzie ze strony swego narodu, pogardzie, która obejmuje także to, co napisał przed wojną. Umiera na serce 2 lutego 1956 roku. Ma wtedy 62 lata.

KLERK

W Polsce międzywojennej był przede wszystkim cenionym krytykiem literackim, ale także poetą, autorem słuchowisk radiowych, tłumaczem. Uważany przez wielu współczesnych za wybitny umysł,

Dlatego też Skiwski mógł poprzez bardzo gwałtownie faszyzm i nacjonalizm. Był to gest niezależności klerkowskiej, w sytuacji, gdy o myśleniu polskiej inteligencji zdawali się decydować liberalni intelektualiści z kręgu „Wiadomości Literackich”. Dla Skiwskiego bowiem myśl prawdziwa to w pewnym sensie myśl błędna.

POD ZNAKIEM HEREZJI

Skiwski lubił atakować autorytety, negować uznane hie-

nej. Zdaniem Skińskiego, boh. Zeromskiego są wrodzy rzeczywistości, cechuje ich wybujały indywidualizm, „szukanie wybawienia od cierpienia w arbitralnym gęście”, antykulturalne nastawienie („identyfikacja czynu moralnego z fizycznym zynieniem dobra”), wreszcie rezonerstwo, wiara w łatwe rozstrzygnięcie skomplikowanych zadań, jakie stawia człowiekowi rzeczywistość. W opinii autora Poza wieszczbiarstwem i pedanterią w dwupietrowej psychice bohatera Zeromskiego (inteligenta polskiego) „uczucie robi swoje, a rozum i wola swoje”.

„Życiu ułatwionemu” inteligencji polskiej przeciwstawił Skiński wizję „życia heroicznego”. Ta opozycja była fundamentalna dla jego myślenia i ona sterowała większością jego kampanii polemicznych. Nawyrażnie w dyskusjach z katolicyzmem, w tekstach poświęconych polskiej religijności czy pisarstwu Mauriaca i Chestertona. Raził go „konformizm” katolików. Pisząc o „katolicyzmie na wygnaniu” w Polsce zauważał, że „Nie trudniejszego jak wypełnić z psychiki polskiej instynkt religijny — ale też nie trudniejszego jak sprowadzić go na teren ściśle wyznaniowego katolicyzmu”. Podziwiał więc Kościół walczący, fanatyczny, inkwizytorski. Podziwiał, ale równocześnie

bum”. Jego zdaniem, głosząc pogląd, że człowiek dąży do szczęścia, pada się ofiarą niebezpiecznego złudzenia — stan szczęścia, niezamoczonego zadowolenia jest niezgodny z jego twórczą naturą.

Niebezpieczne złudzenia nieobce były jednak samemu Skińskiemu. W rozplamionej politycznymi sporami atmosferze lat trzydziestych jego głos coraz silniej wspierał z opiniami skrajnej prawicy. Autor *Na przełaj* jest jednym z tych, którzy ratunek dla zagrożonej Polski widzą w jakiejś polskiej formie faszyzmu. Pisze entuzjastyczną pochwałę głośnej książki F. Goetla *Pod znakiem faszyzmu*. W prawicowym totalitaryzmie widzi szansę dla polskiej kultury, ucieleśnienie swych koncepcji „człowieka heroicznego”. Pisze:

„Dla FASZYZMU szczęście nie jest bynajmniej celem człowieka. Faszyzm z jego kultem życia wiecznie zagrożonego, które wciąż trzeba ujarzmić i zdobywać jest najdalej pojęciu szczęścia (...), wynosi człowieka twórczego, a człowiek twórczy jest śmiertelnym wrogiem osiadłego życia w cichym zakątku szczęścia.”

Znak herezji okazał się więc znakiem faszyzmu.

WYROK

Po wojnie Jana Emila Skińskiego ścigano listami go-

go przedwojennych tekstów, ale też sugerowano... żydowskie pochodzenie Skińskiego. Wreszcie starano się wykazać amoralność i koniunkturalizm twórcy „Przełomu” przypominając, że pisał w tak różnych ideowo pismach jak „Myśl Narodowa” i „Wiadomości Literackie”, a w przededniu wojny miał być naczelnym sanacyjnego „Pionu”.

Gdy dziś spojrzeć na sprawę Skińskiego z pewnego dystansu, można spróbować przypomnieć jego przedwojenne pisarstwo i widzieć w nim i losach jego autora pewne dramatyczne i skrajne konsekwencje dróg, którymi wędrowała myśl przedwojennych intelektualistów polskich.

Jak S. Kisielewski można w Skińskim widzieć jednego z tych, których zahipnotyzowała wiara w Ducha Dziejów, którzy pełni pychy chcieli wyprzedzić bieg historii. Skiński to jakby jeszcze jedna postać Zniewolonego umysłu.

Ale też Skiński w swoim pisarstwie w sposób niemal doskonale i konsekwentny powtarza te wartości, które były bliskie tej zapoznanej części polskiej inteligencji, która się związała ideowo z nacjonalizmem. Mitologia „życia heroicznego” tkwiła korzeniami w modernizmie — w myśli Brzozowskiego, Nietzschego, Barresa, ale także Dmowskiego czy Balickiego. Jej elementy były obecne u niemal wszystkich autorów związanych z prasą kulturalną nacjonalistów — od „Myśli Narodowej” do „Prosto z mostu”. Skiński je logicznie i konsekwentnie łączył — stąd jego pełna wyższości krytyka praktyki polskiego nacjonalizmu. Szczególnie zbliżył się do poglądów młodego pokolenia nacjonalistów, skupionych wokół ONR, choć trudno tu mówić o jedynomyślności.

Wreszcie „Przełom” jest, być może, konsekwencją myślenia, które chce za wszelką cenę być niepokorne i zbuntowane, wynikiem szczególnej wierności powołaniu klerka, tak jak je Skiński rozumiał. Paradoikalny przykład rozumowania, że własnej niezależności intelektualnej należy być wiernym nawet w tak drastycznej sytuacji jak wojna, nawet za cenę wykluczenia z własnego narodu. Autor *Na przełaj* był pisarzem niezadowolonym z własnego narodu. Ten krytyk Zeromskiego, chciał być surowym sędzią i nauczycielem społeczeństwa, zwłaszcza inteligencji polskiej. Wyroki Skińskiego były surowe — pisząc o własnym narodzie jest niemal zawsze pełen żalu, niechęci, rozczarowania... Jak cienka jest granica między taką krytyką a zdradą? Czy zdrada Skińskiego jest swoistym powtórzeniem tej Michała Kanińskiego z *Płomieni* Brzozowskiego?

Zapewne żadna z tych odpowiedzi nie jest prawdziwą do końca. To „nie rozumiemy”, które pojawiło się w pierwszych informacjach o okupacyjnej działalności Skińskiego wciąż brzmiało na sali sądu. Brzmi ono także dzisiaj.

Maciej Urbanowski

Tadeusz Nowak PIEŚŃ Z PISANEJ TRAWY

*Piszesz te senne listy
wijesz z pisanej trawy
W słowach poranek dżysty
i ani zdziebka jawy*

*Nie wiem gdzie jesteś ani
w jakim śnie leżysz teraz
Listek po listku rani
mech co zielenią wzbiera*

*Więc pewnie jesteś w mchu
w każdej jego łodyżce
I biegnę doń co tchu
na pliszkwatej nóżce*

*A ciebie w nim już nie ma
jakby się nagle mech
rozjechał kołmi trzema
w podkowy dzwonných ech*

*Jest tylko ślad na jawie
i na niebiosach ślad:
wijesz w pisanej trawie
sennie listy od lat*

*Wijesz i czytasz we śnie
tak cicho że ze snu
nie mogą wyjść czereśnie
na dojadanie mchu*

*Nie mogą wyjść jabłonie
na dopijanie mleka
I tylko pies na konie
w mchu po pęciny szczeka*

Bogusław Zurkowski PERYFERIE

*Jesteś na peryferii światła. W podziemnym dworcu.
Niejawnie i niedokładnie. Jakby cię nie było.
Niepewnie stąpasz w przeciagu czasu. Pośliznąłeś się.
Lecz nie upadasz, trzymasz się powietrza. Nie jesteś
Podróżnym na gapę.*

*Jak się nazywa stacja, gdzie zmęczeni ludzie
Siedzą na betonowej podłodze lub leżą z głową
Na torbie? Niektórzy owinięci w papier szeleszczący.
Zamiast mówić, czolgają się, zamiast iść.*

*Zatrzymaj się przy
Chłopcu. Po jego ramieniu przemyka oswojony
Szczur. Białe i czarne łaty. Jasne
Palce chłopca dotykają strun gitary
Przyciśniętej do serca. Szczur tańczy
I kłania się światu.*

*Ktoś śpiewa o ludziach, którzy nie poddawali się,
Rysowali na murze kształt kotwicy. Nigdy
Nie ścisiali głosu wobec ścian, gdy ściany
Miały uszy. W turystycznych plecakach była
Bibula. Fakty —*

*W pamięci. Wywlekano ich z mieszkania
w szarą poranką.
Słuchasz. Wspominasz. Wracasz do wyjścia.
Ku światłu.*

Leszek Szaruga ZDARZENIE NA ROMERSTRASSE

w świecie Société Imaginaire
*Nasze języki otwierają przestrzeń
pamięci. Klucze słów przelatują
nad rzeką zapomnienia, po której
płynie cień Dostojewskiego. To cień
naszej epoki, która wciąż się kończy
implozją znaczeń. Trwa i zapada się
w siebie: niczym czarne słońce
pochłania światło. Kamienie gwiazda
naszego czasu i czytamy nagle
mowę drzew, wiatru, wody: mowę
zmarłych i nie narodzonych jeszcze
poetów. Oślepieni, tu na Römerstrasse,
w małym mieście zgubionym w środku
Europy, potracamy przechodnia
imieniem Stawrogin. W tej samej
chwili historia śpiewa nową pieśń
i otwiera przed nami świat miłości.
I wiemy o czym śpiewa, lecz nie znamy
słów. Znów będziemy się uczyć obcego języka
czasu, który nas pożre, który nas ocali.*

Bad Ems, 22.01.1991

Dekada Literacka 7

ANEKS

1) z zeznań Kazimierza Wyki (7 IX 1946)

„Z Emilem Skińskim zetknąłem się dwa lub trzy razy przed wojną, w okresie wojny nie widywałem go nigdy. W okresie okupacji pilnie czytywałem wszystko co Skiński pisał, jak również zbierałem o nim wiadomości, a to dlatego, że znając go sprzed wojny nie mogłem zrozumieć jego wystąpienia, tym bardziej, że uważałem go za człowieka o wybitnym umyśle. Skiński pisywał w „Przełomie”, w „Głosie Krakowskim” i w „Nowym Kurjerze Warszawskim”. Ponadto Niemcy w okresie po powstaniu warszawskim i w czasie powstania rozrzucali potajemnie broszury propagandowe pozorując, że pochodzą one z prasy podziemnej. Broszury te były bardzo dobrze napisane i sądząc z formy i stylu pisania miałem wrażenie, że autorem ich m.in. był wż. mógł być Skiński. Pisał to w każdym razie ktoś dobrze zorientowany w stosunkach wewnętrznych, a styl pisania właśnie wskazywał na styl Skińskiego.

Na podstawie moich dociekań i badań doszedłem do takiego wniosku, że Skiński pisuje dlatego, że ma jakiś specjalny uraz anty bolszewicki. Zona jego natomiast opowiadała, że pisuje on dlatego, że ma po prostu manię pisaną i potrzebę drukowania. Skiński znany był w świecie literackim, uważany był za wybitny umysł, dlatego też wystąpienie jego tym bardziej wszystkich zdziwiło i zostało potępione.

Nie posiadam wiadomości, czy Burdacki i Skiński pisali na czyjeś polecenie, w szczególności propagandy niemieckiej, ale z treści ich artykułów należy tak wyciągać wnioski, że działali dla propagandy niemieckiej, gdyż w nich tym się nie różniło od normalnej propagandy niemieckiej”.

obawiał się. O tej ambiwalencji decydowało odrzucanie przez Skińskiego „antykulturalnego” nastawienia chrześcijaństwa. Jak zauważał, ściśle odgraniczenie doczesności od wieczności prowadzi do nihilistycznej wizji kultury. Zapoznając wartość kultury chrześcijaństwo neguje to, co Skiński uważał za istotę człowieka — twórczość. Kultura miała dla twórcy *Na przełaj* znaczenie absolutne. Pisząc o swojej „religii kultury” podkreślał, że nakazuje ona człowiekowi budować i przez to uznaje pozytywny sens doczesnego bytu człowieka. Działając twórczo człowiek „oddaje Bogu jedyny hołd, który Mu oddać może”. Sensem życia jest walka i twórczość, wartości w pewnym sensie wzajemnie się warunkujące. Człowiek, o którego walczył Skiński, to człowiek „heroiczny”, „pełny”. Nie uznaje on bowiem za obce w swej egzystencji zła, cierpienia i nienawiści. Nie są one sprzeczne z jego celami w życiu. „Nienawiść jest organicznym czynnikiem wszelkiego budownictwa, które bez niej staje się dreptaniem w miejscu”. W takich poglądach tkwiły przyczyny ataków Skińskiego na Słonimskiego czy grupę „Ver-

czymi, wyrzucono z organizacji pisarskich, wreszcie wytożono proces zakończony wyrokiem dożywocia.

Na tym procesie zeznawało wielu świadków. Głównym pytaniem, jakie sobie stawiali, nie było to czy Skiński zdradził. Odpowiedź była i jest oczywista. Niejasne i niepokojące nieoczywiste wydawały się odpowiedzi na inne pytania. Kazimierz Wyka mówił: „Znając go sprzed wojny nie mogłem zrozumieć jego wystąpienia, tym bardziej, że uważałem go za człowieka o wybitnym umyśle”, wyrażał nie tylko swoje zakłopotanie. Dlaczego właśnie Skiński zdradził. Kiedy to się właściwie stało? Czym był „Przełom” — żalosną efemerydą czy znakiem spraw ważniejszych?

Odpowiedzi dawano różne, nieraz sprzeczne, czasem kłamiwe jak ta o współpracy z „Prosto z mostu”. Nie zapominajmy, że był rok 1949 i przy okazji oskarżeń Skińskiego próbowano pogrążyć przedwojenną Polskę i powojenną emigrację. Mówiono więc o jego kosmopolityzmie tkwiącym korzeniami w odczarnianiu kulturą Francji. Wskazywano na antyradzieckie i antysemityczne ostrze je-

Jerzy Turowicz — umiłowanie prostoty

JERZY TUROWICZ: „Kościół nie jest lodzią podwodną”, (wybór publicystyki z lat 1964—1987), wybór i redakcja Józefa Hennelowa, S.J.W Znak 1990.

Malo komu wiadomo, że do wielbicieli talentu i postawy intelektualnej redaktora „Tygodnika Powszechnego” należał nie kto inny, jak sam Tadeusz Kantor, nieskory przecież do pochwał i fascynacji innymi — z wyjątkiem własnej — osobowości twórczych. Dosłownie na kilka dni przed śmiercią Kantora, odbyło się pamiętne spotkanie w Krzysztoforach, podczas którego artysta nazwał Jerzego Turowicza niezłomnym polskim rycerzem, który nie sprzeniewierzył się ideowemu posłaniu Kirkora — teatralnej postaci, granej przez Turowicza w jego okupacyjnej *Balladynie*.

Przywołałem Kirkora po to, aby zastanowić się nad fenomenem Jerzego Turowicza, któremu jako jednemu z nielicznych udało się prawie suchą nogą przejść przez komunizm. Turowicz jest osobowością złożoną, trudną do jednoznacznego zaklasyfikowania, łączącą w sobie chłonne uniwersalizm z nieustannym zapatrzeniem w polskie problemy i bolączki, swoisty konserwatyzm w sprawach wiary i doktryny Kościoła z równoczesną inklinacją do awangardyzmu w sztuce, elitaryzm w estetycznych gustach z uwrażliwieniem na „ciemny” świat biedy i upośledzenia.

Wydany przez Znak drugi już — wybór publicystyki Jerzego Turowicza przybliży nam redaktora „Tygodnika

Powszechnego” do tych jego różnorodnych zainteresowań i poszukiwań. Książka składa się z trzech zasadniczych części: Od Soboru do dzisiaj, Z polskiej perspektywy i Świadectwo ewangelii. Turowicz aktywnie uczestniczył i skrupulatnie relacjonował wydarzenia Soboru Watykańskiego II. Poznał w czasie trwania sesji soborowych sławnych jego reformatorów: Congara, Rahnera, de Lubaca, Daniélou, Chenu, Künga, Schillebeeckxa i wielu innych. Mógł ogarnąć i uświadomić sobie epokowy wstrząs dokonujący się w Kościele, który miał na celu odnowę misji Kościoła powszechnego, pragnącego znaleźć nowy, bardziej adekwatny do współczesnych czasów język. Zawarte w książce teksty są próbą refleksji i bilansu dokonań soboru. Jerzy Turowicz ustawia się w pozycji centrowej, wyznając tzw. realizm krytyczny. Z jednej strony broni idei reform soborowych, koniecznego zerwania skostniałego gorsetu, narosłych w Kościele przez wieki przyzwyczajęń, z drugiej zaś daleki jest od akceptacji niczym nieograniczonego wolnomyślicielskiego schizmu, które biorąc swój początek z soborowego ducha, naruszyły zasadniczość autorytetu i hierarchicznej władzy Kościoła. To, co jednak stanowi o specyficznej wartości myślenia Turowicza, opiera się na chwalebnej zasadzie wszechstronnego poznania zjawisk i racji religij-

nych, oficjalnie przez Kościół odrzucanych i zakazanych. Dzięki zamieszczonym w książce studiach i komentarzom, możemy prześledzić z jakimi problemami stykał się i starał się przezwyciężyć Kościół powszechny w ciągu 20 lat od zakończenia soboru. Przypominamy sobie głośną sprawę księży-robotników, zainicjowaną w czasach soboru walkę kobiet o emancypację w Kościele (np. udział kobiet w liturgii), problem zniesienia celibatu księży, wolnomyślicielskie teologów francuskich i niemieckich, „Katechizm holenderski”.

Zbiór zawarty w książce artykułów i esejów zamykają sylwetki wybitnych postaci współczesnego życia religijnego. W nakreślonych przez Jerzego Turowicza portretach przebiega literacki talent autora, jego siłowność do esencjonalności i konkretności, posługiwanie się językiem prostym, a zarazem poetyckim. Turowicz fascynują religijni idealisci i wizjonerzy, którzy ścigani przez Boga, przekraczają ustalone granice i hierarchie, nie pozostając jednak na marginesie oficjalnego Kościoła. Każda z tych postaci, czy to jest patriarcha prawosławny Antenor, czy też odosobniony w swej pustelni Thomas Merton, czy uosobienie świętej skromności Maria Teresa z Kalkuty, czy wreszcie dla kontrastu — anarchizująca Doroty Day, staje się nam bliska, gdyż autor umie pokazać je jako realnych ludzi, uwikłanych bez cienia patosu i sentymentalizmu w codzienną postać człowieka. Ich bezgraniczna miłość w niesieniu pomocy człowiekowi, jest pozbawiona ceremonialności i omalże bezszelestna. Maria Teresa, wyjaśniając przyczyny powstania tzw. umierań dla ludzi z ulicy pozabawionych prawa pochówku, powiada całkiem naturalnie: „całe życie żyli jak zwierzęta, niechęć umierają jak aniołowie”. Można odczytać w książce, że Duch Święty prowadził sprawy opisanych przez autora Sług Bożych. Turowicz zaznacza, że u Marii Teresy i Doroty Day, tych wspaniałych kobiet, których zasięg humanitarnej działalności jest godny największego podziwu, istniała wrodzona awersja do finansów, nigdy nie prowadziły

ksiąg rachunkowych i nie korzystały z dotacji państwowych.

Wolno podejrzewać, że ta sama Najwyższa Instancja patronowała od początku poczynaniom Jerzego Turowicza. Redaktor „Tygodnika Powszechnego” zdołał przeprowadzić swoje pismo przez wszystkie próby i meandry komunistycznej rzeczywistości. Wydaje się jakby zawsze miał wyczucie słusznych racji: kiedy występował w obronę listu biskupów polskich do biskupów niemieckich, kiedy przeciwstawiał się gomulkowskiemu nagonce na Żydów w marcu 1968, kiedy bronił niezależności polskiej kultury i suwerennego statusu twórcy. Jednocześnie zaś olimpijski spokój i przeorność w ocenie zmian zachodzących w kraju nigdy nie pozwalały mu postępować nazbyt pochopnie, przez co nie dawał łatwych pretekstów do likwidacji pisma. Można pokusić się nawet o stwierdzenie, że im gorsze były czasy, tym lepsze pismo. I podobnie jak podczas okupacji potrafił Turowicz w gosyckim dworze — co ciekawie opisuje Jan Józef Szczepański w opowiadaniu *Trzy czerwone róże* — stworzyć sobie azyl, w którym zgromadził tomiki poezji i albumy reprodukcji Boscha, El Greca, Breughla, impresjonistów i kubistów, tak samo w najgorszych stalinowskich czasach potrafił zamieszczać w swoim piśmie artykuły własne i innych na temat wyklętej przez komunistów i niezrozumiałej dla braci katolików sztuki współczesnej. Nie dziwnego, że taka nonkonformistyczna postawa mogła podobać się Kantorowi.

Czasy się zmieniły. „Tygodnik Powszechny” przestał być duchową wyrocznią dla polskiej inteligencji, wyznaczającą kryteria moralne i estetyczne. Kiedy jednak powstają na naszych oczach nowe pisma, warto, aby ich redaktorzy w chwalebnej ambicji odznaczenia się czerpał naukę od Jerzego Turowicza właśnie, biorąc od niego wzór twardej konsekwencji i szlachetnej prostoty.

Zbigniew Baran

Pisać, aby żyć

STEPHEN KING: „Misery”, tłum. Robert P. Lipski, Amber, Warszawa 1991.

Wydaństwo Amber w serii horrorów oferuje czytelnikom powieść Stephena Kinga *Misery*. Jest to nieco mylące, gdyż książkę tę trudno przypisać do tego gatunku literackiego. Jest ona czymś wyjątkowym w twórczości Kinga. Autor nie tylko nie wprowadza zjawisk nadnaturalnych, lecz nawet nie obdarza żadnego z bohaterów zdolnościami paranormalnymi, co należy skądinąd do ulubionych chwytów owego pisarza. Nikt ani nie przenosi przedmiotów siłą woli, ani nie rozpala w podobny sposób ognia na odległość. Nie ma tu miejsca na nadzwyczajne umiejętności, chyba że konieczność pisania i bycia pisarzem uważa za cechę wrodzoną i poniekąd nienaturalną. To właśnie ona bowiem wpędza bohatera, Paula Sheldona, w tarapaty. Sheldon pisuje „(...) dwójki rodzaju powieści — dobre i bestsellery (...). Do tych ostatnich — zapewniających mu godziwe utrzymanie — należy przede wszystkim sentymentalno-przygodowy cykl książek o Misery. „Misery” to imię żeńskie (pretensjonalne i wydumane), a także rzeczownik oznaczający „nieszczęście”. (Należy dodać, że mottem jednej z części książki są słowa Montaigne’a: „Pisanie nie jest przyczyną nieszczęścia, to narodziny nieszczęścia”).

W wyniku wypadku samochodowego twórca cyklu „Misery” dostaje się pod opiekę swojej wielbicielki, byłej pielęgniarce, Annie Wilkes. Umieszcza ona rannego i nieprzytomnego idola u

siebie w domu. O jego losach nikt nie wie. Kiedy Sheldon odzyskuje świadomość, stwierdza że jest unieruchomiony — ma częściowo zmiężdżone nogi, a co gorsza jego troskliwa opiekunka uzależniła go od narkotyków. Kobieta ta jest niebezpieczną psychopatką, która postanowiła — korzystając z wszelkich dostępnych środków — zmusić Paula, aby kontynuował zamknięty już (śmiercią bohaterki) cykl książek. Wybór właściwie nie istnieje. Pisarz zaczyna przy tym podejrzewać, że gdy skończy powieść — powstającą specjalnie dla Annie, w jednym egzemplarzu, zagorzą wielbicielka zabije go. Musi więc nie tylko pisać, ale i szukać wyjścia z dramatycznego położenia, w którym się znalazł.

Dla Kinga charakterystyczne jest wpisywanie swoich książek w szeroki kontekst literacki. Podobnie dzieje się i tym razem, choć w sposób szczególnie przewrotny. (Profesja głównego bohatera usprawiedliwia zresztą w pełni tego typu zabiegi.) Paru spośród takich odwołań nie można pominąć. Stephen King odwraca sytuację przedstawioną w pierwszej powieści Johna Fowlesa *Kolekcjoner*, gdzie mężczyzna-psychopata więzi kobietę; jednocześnie opatruje jedną z części utworu mottem właśnie z *Kolekcjonera*, a swojemu bohaterowi każe w pewnym momencie zastanowić się, czy Annie Wilkes nie ma przypadkiem na półce „pierwszej książki Fowlesa”. Mało tego — w fragmencie z *Kolekcjonera*

padają zdania „(...) Pisanie tu działa jak jakiś narkotyk. To jedyne, czego oczekuję. (...)”. To, iż rzeczywistym narkotykiem dla Sheldona nie jest ten, od którego uzależniła go Annie, potwierdza bezpośrednio sam King. Pisarz — również dla samego siebie — jest rodzajem Szeherazady, opowiadającej historie, aby móc żyć. I właśnie postać (a raczej może: symbolika) Szeherazady należy do najczęściej przywoływanych w *Misery*.

Wprowadza też Stephen King fragmenty powieści Sheldona — nie tylko tej pisanej w osamotnionym domu w górach, ale i innych — również jako... motta ostatniej części książki. Żeby sprawę jeszcze bardziej skomplikować, King nawiązuje do treści własnego utworu. Po pierwsze, już samą akcję umieszcza w okolicach Sidewinder, miasteczka w stanie Colorado znanego czytelnikom *Jasności*, po drugie, w tekście pada wzmianka o hotelu „Overlook” („Panorama”) spalonym dziesięć lat wcześniej przez swego dozorcę. Tyle że nie ma żadnego sygnału, który pozwoliłby dopatrywać się w owym wydarzeniu czegoś bardziej niezwykłego niż pomieszczenie zmysłów podpalacza.

Misery, niezależnie od swojej trzymającej w napięciu akcji, jest w istocie książką o pisaniu i byciu pisarzem. Odsłania nawet niektóre mechanizmy procesu twórczego, umożliwiając dostrzeżenie jak przeżywane przez bohatera sytuacje, myśli, lęki, bóle, plany, przekształcają się w rzeczywistość jego książki. Równocześnie fragmenty utworu Sheldona mają wyraźne akcenty parodystyczne, zabarwione są lekką drwiną i sentymentalnych romansów czy powieści przygodowych. Świat *Misery* jako bohaterki Paula Sheldona wykazuje wiele pokrewieństw z tym, który kreował H. Rider Haggard; zaś rzeczywistość, w której uwięziony jest Paul, w nim samym wywołuje podobne skojarzenia.

Sheldon nienawidzi swojej „opiekunki”, to prawda, lecz zarazem jest mu ona potrzebna, gdyż wyjątkowo skutecznie potrafi zmusić go do pisania, a właśnie to jest dla niego najważniejsze. „(...) w gruncie rzeczy pierw-

sze skrzypce w tym wszystkim grała książka (...)” — ta, którą pisał pracując tak, jak nigdy dotąd, obmyślając sposoby wydostania się z matni, podejmując kolejne próby i przekonując się z wzrastającym przerażeniem w czyje ręce się dostał i do czego zdolna jest jego oddana wielbicielka.

Uczynienie pisarza jednym z bohaterów czy wręcz głównym bohaterem, nie jest niczym nowym w twórczości Stephena Kinga, jest tym natomiast rola, jaką twórczość bohatera odgrywa w planie sensacyjnej akcji, nigdy do tej pory aż tak nie wyeksponowana, a ponadto — czy też przede wszystkim — potraktowanie fabuły jako pretekstu do autotematycznych refleksji.

Można odnieść wrażenie, że King, autor wielu bestsellerów, dość długo zastanawiał się nad samym fenomenem bycia pisarzem i problemami związanymi z działalnością literacką. Po czym — zgodnie z zasadą, że wszystko nadaje się do wykorzystania — przemienił swoje rozmyślenia i doświadczenia w kolejną (wydaną w 1987 roku) powieść. Dowodzi swoistego mistrzostwa Stephena Kinga, że tak specyficznemu tematowi nadał kształt książki interesującej dla szerokiego odbiorcy. Warto podkreślić, że nie tylko miłośnika horrorów.

I jeszcze jedna uwaga na koniec. Nie jest zupełnie nieuzasadnione, choć może szokujące na pierwszy rzut oka, podejrzenie, że psychopatyczna morderczyni jest rodzajem alter ego Paula Sheldona. Opowiadacza historii, który musi pisać, aby „utrzymać się przy życiu” — w każdym możliwym znaczeniu tego sformułowania.

Jusiyana Zarzycka

Nowe tomiki księdza Twardowskiego

JAN TWARDOWSKI: „Sumienie ruszyło”, W-wa 1990.
JAN TWARDOWSKI: „Tak ludzka”, Wrocław 1990.

Twardowski wielkim poetą jest? To Gombrowiczowskie pytanie zupełnie zdaje się nie przystawać do materii wierszy księdza Jana. Liryczny bohater całej twórczości Twardowskiego zaprzecza bowiem obiegowym wyobrażeniom o „wielkim poecie”. Także i duchowna profesja spełniana na co dzień przez twórcę nie skłania do tego rodzaju pytań. Zakładano „po cichu”, iż książka i poeta tworzą wizerunek wewnętrznie sprzeczny, a jeśli w dodatku miały być „poeta wielki” to dla wielu stawało się to w ogóle nie do pojęcia.

Przez lata pozostawała poezja ks. Jana Twardowskiego w opłotkach oficjalnej literatury, tolerowana zaledwie, z pewną dozą pobłażliwej wyższości przez urzędników od kultury. Równocześnie zaś, a może właśnie dzięki temu, rosła jej popularność czytelnicza. Tu jednak również nie pytano ani o specyfikę zjawiska, ani o miary wielkości tego pisarstwa, traktując je jako rzecz samą w sobie doskonałą i odrębną od reszty literatury. Kapłańskie namaszczenie autora wyłączało w świadomości czytelniczej jego twórczość z normalnego obiegu ocen i opinii, obdarzając glejtem nietykalności.

Z biegiem lat pojawiać się zaczęły coraz liczniejsze poeci w sutannach, ukuto więc termin „poezja kapłańska”, by w jego ramach rozpatrywać wszelką twórczość przewielebnego autorstwa. Przyjmowano przy tym niejako z góry, że płody duchownych piór są, a także, poezją religijną.

Czy określenie „poezja kapłańska” ma sens? — By zająć pozycję kompromisową — odpowiedź ostrożnie, iż jest to sens, w moim odczuciu, bardzo ograniczony. Pytanie powyższe można by zastąpić innym, podobnym, czy termin „poezja lekarska” ma sens, albo „poezja nauczycielska”? Nikt nie może mieć wątpliwości, że zbliżamy się do nazewnictwa absurdu, choć przecież byli w naszej literaturze poeci-nauczyciele (Przybóś, daleko nie szukając) i poeci-lekarze (np. Boy). Nikt jednak rozsądny nie rozpatruje ich twórczości przez pryzmat zawodowych ról. Funkcjonuje wszakże w nauce o literaturze termin „poezja plebejska” oraz „poezja mieszczańska”, których przydatność w badaniach nad staropolszczyzną trudno negować. Byłby więc termin „poezja kapłańska” reliktem stanowego spojrzenia na literaturę? Współcześnie, gdy nie ma ani stanów, ani, przede wszystkim, świadomości różnicowań stanowych, określenie to wydaje się mocno anachroniczne. Nie w anachroniczności tkwi jednak istota mojej niechęci do posługiwania się nim, ale w przekonaniu, iż wszelkie etykiety, a zwłaszcza etykiety ideologiczne, typu „poezja kapłańska” czy, także, „poezja religijna” deprecjonują

w odbiorze czytelniczym teksty tak zaklasyfikowane, narzucając reguły czytania inne niż dla „normalnej” poezji. Określenia takie, używane powszechnie i bez żadnych wyjaśnień, niosą zagrożenie manipulacji czytelnikiem, polegającej na zrezygnowaniu pewnych obszarów literatury poza jej granice, do lamusa egzotyczności.

Jeżeli godzę się na określenie „poezja kapłańska” (i to właśnie jest ów kompromis) to tylko wtedy, gdy sam liryczny bohater daje się rozpoznać jako kapłan. Dzieje się tak czasem u Twardowskiego. Czy jednak jest to wystarczający powód, by rozpatrywać jego twórczość jako „poezję kapłańską”? Mówmy po prostu o poezji, a wyjdzie jej to z pewnością na zdrowie.

Asumpt do powyższych rozważań dały mi dwa wydane niedawno tomiki Jana Twardowskiego *Sumienie ruszyło* oraz *Tak ludzka*. Pierwszy zawiera w większości teksty nowe, drugi jest antologią wierszy maryjnych poety.

Nietypowa to jednak mariologia, tropiąca z zapalem ziemskość Wniebowziętej. Matka Boga w ujęciu Twardowskiego jest zwykłą (na pozór) kobietą, steraną życiem, „w okularach grubych i ciężkich”, w szarej bluzce w kropki zielone, „odpukującą nieszczęście”, „mającą czas dla wszystkich i na wszystko”. Zakorzeniona przez poetę w szarej codzienności z jej współczesnymi realiami, sprowadzona na ziemię, staje się wzorcem świętości zwyczajnej, osiągniętej jakby mimochodem dzięki miłości. Obie, zwyczajność i świętość wyznaczają specyficzny klimat tej poezji. Zwyczajność bierze swój początek w przymierzaniu ze światem, które liryczny bohater zawarł już w wierszach pierwszego powojennego tomu z 1959 r. Przymierzanie to, wyrażające się w zachwycie dla tego, co materialne, konkretne i poszczególne oraz w towarzyszącym mu podziwie nad całym dziełem stworzenia, skutecznie chroni twórczość Twardowskiego przed fałszywym uduchowieniem, przydając jej charakterystyczne ciepło i nutę zadumanego uśmiechu. Zwyczajność to również w wierszach Twardowskiego jakby zasłona świętości, jej ukrycie, będące zarazem gwarancją jej autentyczności. Stąd też ważna rola w kreowaniu poetyckiego świata przypada przezroczystości rozumianej zawsze, a więc i w sensie egzystencjalnym i ontologicznym, jako stan doskonałości. Ontologicznie — przezroczystość jest w poezji Twardowskiego atrybutem Boga, który „ukrył się najdokładniej, by świat było widać” i który „jest tak wszechmocny, że potrafi nie być”. Egzystencjalnie — przezroczystość odnosi się do człowieka, stanowiąc wy-

móg rezygnacji z siebie „amen lub inaczej niech nie będzie mnie”, po to, by móc napisać się Niewidzialnym. Wzorem przezroczystości — rozumianej też jako prostota jest zawsze u Twardowskiego dziecko. „Dziecko, co tak kocha, że nie nie rozumie” jest również znakiem świętości.

Wszystkie przywołane powyżej motywy — a więc: zwyczajność, świętość, przezroczystość, dziecko (i dzieciństwo jak czas szczególnie uprzywilejowany) stanowią filary wyobraźni poety i powracają, w różnych konfiguracjach semantycznych i różnych metaforycznych wcieleniach w całej jego twórczości. Dopisać do nich trzeba jeszcze przeszłość, cierpienie, samotność oraz ziemię, by otrzymać w miarę pełny wykaz motywów konstytuujących świat poetycki księdza Twardowskiego. Jest to świat wyjątkowo jednorodny i zwarty. Porusza się w nim bohater liryczny, wyposażony w pewne stałe cechy, pozwalające rozpoznać w nim tę samą postać. Ustalenia krytyczne prawdziwe dla wczesnej twórczości poety zyskują potwierdzenie w tomach z ostatnich lat. Mówiąc o jednym tomiku Twardowskiego, niejako automatycznie mówi się więc o całym dorobku.

W monolityczności tej i związanej z nią pewnej nieruchomości i jednolitości wyobraźni widzę jedno z największych niebezpieczeństw dla poezji Jana Twardowskiego. Mówiąc wprost, chodzi o zagrożenie jednostajnością tematyczną i znużenie podobieństwem obrazów, do których kreacji używa się wciąż tych samych chwytów. Świat przedstawiony powołują tu do istnienia mechanizmy, których zasady działania pozostały nie zmienione od pierwszych tomów wierszy. Być może, kaprysze niepotrzebnie. Smutno jednak trochę, że oświecenie towarzyszące pierwszemu spotkaniu z poezją Twardowskiego zastąpione jest uczuciem, „że już się coś podobnego czytało” przy lekturze tomików późniejszych, nie wyłączając dwu ostatnio wydanych. Nie wykluczone zresztą, że „wina” takiego odczytania leży po stronie „przejedzonej” czytelniczki.

Czy rzeczywiście nie się w tej twórczości nie zmienia? Posługując się najnowszymi tomikami, można odnotować, co następuje: Po pierwsze, nasilenie skłonności do operowania ostrymi dysonansami. Oparte są one zwykle na wprowadzeniu do szeregu wyliczeń wyrazu z zupełnie innego rejestru języka lub obszaru znaczeniowego. Tak postępuje Twardowski między innymi w wierszu o incipicie „Jarzębiny przy drogach”, gdzie po „jarzębinach, miłości i młodości” nagle pojawiają się „pęknięte spodnie”. Efekty tych działań nie zawsze są udane. Po drugie, zaobserwować się daje zwiększenie ilości frazeologizmów i kolokwializmów, występujących często w zaskakujących zestawieniach. I tak np. w wierszu *Nie tylko* „jeszcze wierna świnia kocha nie zapomina”, a w wierszu *Ile* „zapomnisz nawet, że Bóg wie wszystko, jeśli wyskoczysz z pyskiem za szybko”. Po trzecie, częściej niż dawniej spotyka się hiperbole, zbudowaną na zasadzie przypisywania wyolbrzymionych cech zwierzęcych ludziom bądź przenoszeniu na ludzi zachowań zwierząt. Przykłady znajdziemy m.in. w wierszu *Ryć czy tylko dla dorosłych*, w którym (sumienie) „z żalu za grzechy nie wyle”. Wiersz ten ciekawy jest o tyle, iż cały, łącznie z tytułem, składa się z kolokwializmów i potocz-

nych zwrotów. Wyzolowane przeze mnie „nowości” spotykają się, jak widać, w jednym tekście. Po czwarte, wzmożona sytuacyjność nawet króciutkich wierszy poety, ich, chciałoby się powiedzieć, fabularność. Wiele wierszy (nasuwa się podobieństwo konstrukcyjne do bajek) opiera się na jakimś wyrażeniu zarysowanym zdarzeniu lirycznym, z którego wyprowadza się nieoczekiwaną puentę. Doskonałym przykładem tego typu zabiegu może służyć wiersz *Czemu*, krótka pięciowersowa miniaturka, w której różnicowanie długości wersów, wzmożone trzykrotnym paralelizmem syntaktycznym, oddaje zarówno rozczarowanie bohatera, jak i pospieszny, gwałtowny tryb zadawanego pytania. Jest to zresztą z pewnością jeden z najlepszych wierszy tomu. Innym, równie ciekawym poetycko przykładem tego, co nazywałam sytuacyjnością, może być wiersz zatytułowany *Problem*. Przywołałam go tutaj, ponieważ wskazuje on na jeszcze jedną nową, czy może bezpieczniej powiedzieć, częściej obecnie ujawnianą, cechę poezji Twardowskiego, mianowicie na jej aforystyczność. Występuje ona zwykle u poety w dwu formach. Bądź tak jak w wierszu *Problem*, kiedy cały krótki i zwarty tekst staje się dowcipnym i nieco złośliwym aforyzmem, bądź też w postaci celnej, zwięzłej puenty, wieńczącej dłuższe liryczne „opowiadanie”, czego przykład znajdujemy (w kolejnym świetnym wierszu tego tomu) noszącym tytuł *Nie tylko my*.

Wszystkie wymienione cechy, wraz z istniejącymi od dawna w tej poezji skłonnościami do operowania paradoksem, składają się na powstanie nowej jakości, którą nazwałabym barokizacją. Nie używam tego określenia w znaczeniu pejoratywnym. Wskazuję tylko na dość nieoczekiwane korzenie wyobraźni Twardowskiego, ukryte długo gdzieś pod powierzchnią jego wierszy. Bo przecież ta barokowość istniała i wcześniej, w stanie rozproszonym i przez to trudniej wykrywalnym. Nie można też ograniczać jej do upodobania w prostych rymowan-kach, jakby stylizowanych na księdza Bakę, których kilka pomieszczono w tomiku *Sumienie ruszyło*. Barokowość owa tkwi głębiej i ujawnia ją dopiero zestawienie kilku cech tej poezji, do których dorzucić trzeba jeszcze mistyczny sposób przeżywania świata przez lirycznego bohatera. Również i mistycyzm wierszy Twardowskiego pozwala je umiejscowić na linii wywodzącej się wprost z tradycji XVII-wiecznej poezji metafizycznej. Oczywiście, ze wszystkimi odmiennostkami narzucenymi przez świadomość rozwoju nowocześniejszej liryki oraz własny temperament twórcy poety. Wskazuje więc jedynie pewną daleką genealogię, mogącą tłumaczyć obecność takich a nie innych cech w twórczości ks. Twardowskiego.

Jest zatem sporo odmienności w nowych tomikach, zwłaszcza tym zatytułowanym *Sumienie ruszyło*. W ich świetle moje obawy przed monotonią wydają się więc bezasadne. Poezja księdza Twardowskiego żyje i ma się dobrze.

Zofia Zarębianka

P.S. Swoistym curiosum edytorskim jest zmiana tytułów kilku tekstów w tomiku *Tak ludzka* i przypisanie im zupełnie innych wierszy.

Nowości nadesłane:

„Proces szesnastu”, KAW, Rzeszów 1991.

Fotoffsetowe wznowienie wydanej w 1945 r. w Moskwie książki będącej dokumentacją procesu uwiecznionych podstępnie przywódców polskiego państwa podziemnego.

KAZIMIERZ RYŚ: „Obrona Lwowa w roku 1939”, KAW, Rzeszów 1991. Przekład fotoffsetowy wydania z 1943 roku.

STEFAN CHWIN: „Krótka historia pewnego żartu”, Oficyna Literacka, Kraków 1991.

Powieść o „kimś — jak pisze we wstępie Jan Błosiński — bardzo naznaczonej przez miejsce (Gdańsk) i przez epokę (sta pięćdziesiątą), kiedy się wychowuje”.

b.g. wstajmfske: „przyszli barba-

rzyńcy”, Oficyna Literacka, Kraków 1991.

Antologia młodej poezji krakowskiej, wydana pod patronatem Stowarzyszenia Pisarzy Polskich.

ADAM ZAGAJEWSKI: „Dwa miasta”, Oficyna Literacka, Kraków 1991.

Świetny zbiór próz i esejów wybitnego pisarza, jednego z czołowych przedstawicieli Nowej Fali.

GIORGIO COLLI: „Narodziny filozofii”, Res Publica — Oficyna Literacka, Warszawa—Kraków 1991.

Zbiór esejów znanego włoskiego filozofa i filologa klasycznego.

ADAM MICHAJŁÓW, WALDEMAR PACLAWSKI: „Literary Galicia”, Oficyna Literacka, Kraków 1991.

Wydany po angielsku „przewodnik” po powojennym literackim Krakowie.

MARIANNE BRUNS: „Dziewięć synów Wita Stwosza”, przekł. Eugeniusz Wachowiak, PIW, Warszawa 1991.

Powieść historyczna znanej niemieckiej pisarki o schyłkowym okresie życia wielkiego artysty epoki gotyku.

TERESA FERENC, ZBIGNIEW JANKOWSKI, ANNA JANKO, MILENA WIECZOREK: „Cztery twarze domu”, Wydawnictwo „Glob”, Szczecin 1991.

Niecodzienna „antologia rodzinna”, w której obcuje z czterema odmiennymi, oryginalnymi językami poezji, które opowiadają tę samą historię.

STANISŁAW DĄBROWSKI: „Na pustej drodze”, Gdańsk 1991.

Zbiór „wierszy oliwskich” znanego gdańskiego poety i naukowca.

GRZEGORZ KOCIUBA: „Obserwacje”, Rzeszów 1991.

Tom wierszy młodego rzeszowskiego

poety, członka grupy literackiej „Dra-ga”.

SUE TOWNSEND: „Bolesne dojrzewanie Adriana Mole’a”, Książka i Wiedza, Warszawa 1991.

Jest to druga część uroczego i zabawego dziennika 13-letniego chłopca. Świat dorosłych oglądany oczami dziecka.

CARL SAGAN: „Kontakt”, Express Books, Bydgoszcz 1991.

Powieść science-fiction znanego i wybitnego w swoim gatunku autora. Jak wskazuje tytuł, rzecz o kontakcie z pozaziemskimi cywilizacjami.

MARIA KONOPNICKA: „O krasnoludkach i o Sierotce Marysi”, KAW, Rzeszów 1991.

Pięknie ilustrowane wznowienie znanej bajki.

Afera, której nie było, czyli o Teatrze im. Słowackiego

Katarzyna Piszczkiewicz

Hiobowa wieść o kłopotach budżetowych rządu przyprawiła o szybszy rytm serca wszystkich, tym razem i tych, których do niedawna żelazne i żywiołowe prawa ekonomiczne nie dotyczyły czy — precyzyjniej — nie dotyczyły. Sezon teatralny 91/92 rozpoczął się dla dyrektorów scen państwowych niewesoło, bo od obietnicy, że będzie trudniej i biedniej. W Teatrze im. Słowackiego w Krakowie początek sezonu był bardziej osobliwy, zainaugurowała go wiadomość o dymisji dyrektora JERZEGO GO-SKIEGO.

ZABYTEK KLASY ZERO

Stan techniczny w jakim gmach teatru znajdował się przed rokiem, w lipcu, gdy na fotelu dyrektorskim, opustoszałym po kontrowersyjnym poprzedniku zasiadał Jerzy Goliński: popękane rury kanalizacyjne, przesiąknięte fekaliami ściany, instalacja elektryczna grożąca wybuchem pożaru. A także: rozkopane okolice budynku, odsłonięte a niezbyt pewne fundamenty, jednym słowem remont, trwający już ponad dwa lata.

— Ja brałem rudę, ruinę — mówi dyrektor — i widziałem gaty, co brały! Po prostu uważałem, że obowiązkiem moim, mojego pokolenia, jest zachować substancję. To znaczy, doprowadzić w miarę możliwości do tego, żeby życie się tu tliło i ciągnąć sprawę remontu. No i zdarzył się cud — KBWE!

Cud — poniekąd mniemany — wyniknął z pomysłu ówczesnego wiceprezydenta Krakowa JACKA PURCHIA, który zdołał przekonać pełnomocnika rządu ds. KBWE JACKA PALISZEW-SKIEGO oraz minister IZABELLĘ CY-WINSKĄ, że warto upiec dwie pieczenie przy jednym ogniu. To znaczy, przygotowania do KBWE połączyć z szybkim i gruntownym remontem teatru, który na lepszy los zasłużył z pewnością.

Zgoda rządu na przyspieszony remont poparta została natychmiast zastrzykiem finansowym. Wszyscy zdawali sobie sprawę, że w niecałe 10 miesięcy (do maja 91) trzeba będzie wykonać kolosalną pracę — aż trzy czwarte robót, na które pierwotnie przeznaczono ładnych parę lat. Pochodzący z 87 roku projekt remontowy poddano więc korekcie, a zakres czynności podzielono na dwa etapy: do 1 po KBWE.

AFERA LUKSUSOWEJ ATRAPY

Byliśmy przekonani — mówi MACIEJ BÓBR, rzecznik prasowy wojewody krakowskiego TA-DEUSZA PIEKARZA — że wystarczy nam pieniędzy na zakończenie I etapu remontu. Po KBWE i po pracach wykończeniowych, planowanych na lato 91, chcieliśmy rozpocząć normalny sezon teatralny.

Naiwną wiarą okazało się jednak przekonanie, że pieniądze z budżetu państwa będą płynęły obficie i nieprzerwanym strumieniem, póki ktoś z Krakowa nie zadzwoni do ministra finansów i nie powie: „Dziękujemy, a nas już się przelewa...”. Władza daje pieniądze raczej rzadko i niechętnie, tu liczy się wszakże siła perswazji potrzebującego, ewentualnie wizja korzyści czyli przekonanie o opłacalności inwe-

stycji. Mieć pieniądze to nie sztuka, trzeba jeszcze wiedzieć, kiedy warto zdobyć się na gest.

Do końca maja, czy do daty sympozjum, wydano na remont ponad 112 miliardów, a widownia i foyer teatru zrobiły wrażenie podobno nawet na zagranicznych ekspertach. Kiedy zaś eksperci owi wyjechali, wojewoda rozłożył bezradnie ręce i stwierdził, że brakujących na roboty wykończeniowe i instalacyjne, ostatnich w tym etapie i w tym roku, 8 miliardów nie da, bo nie ma i mieć nie będzie.

— Nie chcę być Lejzorkiem Rojtzwańcem — odparł Goliński i złożył wypowiedzenie. Teatr natomiast otrzymał od dziennikarzy miano „kosztownej atrapy”.

Jeżeli przyjdzie mróz, a teatr nie będzie ogrzewany, to wszystko diabli wezmą! — mówi.

Przyszłość teatru pozostaje w rękach Społecznego Komitetu Odnowy Zabytków Krakowa oraz Urzędu Miasta, bo właśnie te dwie instytucje poprosiły o dotacje w wysokości 8 (4 + 4) miliardów wojewoda Piekarz. Pierwszy łamie się komitet, który na posiedzeniu 10 września podejmuje decyzję pozytywną. Co prawda po burzliwej dyskusji, bo pieniądze z dotacji wykorzystane będą na prace instalacyjne, a nie na „odnowę” sensu stricto... Przeważa jednak argument, że gra toczy się przecież o uratowanie całego gmachu, o to, by był nie tylko suchy czy jasny, ale i żywy, by służył ludziom jako teatr.

rzędy, które kosztem kultury czynić będą oszczędności. Nie brano pod uwagę, że w Krakowie wcale tak być nie musi.

Czy to oznacza, że miasto chciałoby mieć pod swoją opieką, a zatem „na garnuszek” teatry Krakowa czy choćby tylko jeden teatr, ten z placu Św. Ducha? Trudno ocenić. Co prawda wśród radnych popularne są opinie, że nie należy dzielić spraw kultury, oraz że Kraków powinien mieć jeden ośrodek władzy. Czy istotnie miałby nim być magistrat?

Rzecznik prasowy prezydenta BACH-MINSKIEGO, PIOTR JASION, patrzy na taką ewentualność raczej sceptycznie. Komunalizacja niedochodowej instytucji byłaby przedsięwzięciem zbyt kosztownym. Miasto nie jest szczególnie bogate. Może kiedyś, gdy będzie do brze zarabiał na prywatnych przedsiębiorcach, których oby jak najwięcej. Ale teraz? Nie. Zresztą w rezerwie budżetowej miasto nie ma nawet całych 4 miliardów, o które prosił wojewoda.

BARBARA BUBULA uważa natomiast, że budżet miejski ma się całkiem dobrze, w każdym razie bez wątplenia lepiej niż budżet wojewody, zależny tak bardzo od finansów państwa. Nie idzie więc o to, że miasto nie ma pieniędzy na poratowanie wojewody czyli teatru, ale o to, że wydając najmniejszą choćby sumę stworzy precedens. Trzeba „w niektórych momentach zachować sztywne stanowisko” bo „każde łatwe, zbyt łatwe dawanie pieniędzy na rzeczy nie leżące w gestii miasta powoduje dalsze rozszarpanie ze strony władz wojewódzkich”.

A teatr? Co z teatrem?

Bardzo nas zabolalo — mówi pani Bubula — gdy dowiedzieliśmy się, że teatr, który zawsze nazywał się „Miejski”, przestaje mieć jakikolwiek związek z miastem.

Tak, bo gmach teatru, choć zwieńczony napisem „Kraków Narodowej Sztuce”, w istocie leży „poza terenem gminy Kraków”.

WSZYSTKO DOBRE?

Historia tego rodzaju może zakończyć się, wbrew wszelkim przewidywaniom, w miarę optymistycznie. Otóż 19 września „Zarząd Miasta pozytywnie ustosunkował się do prośby o częściowe dofinansowanie remontu Teatru im. Słowackiego”. Trzeba tylko sprawdzić warunki prawne operacji pt.: przesłanie pieniędzy poza teren gminy. I już! Gorzej, jeśli decyzję ostateczną będzie musiała podjąć Rada Miasta...

W teatrze sporów pomiędzy urzędnikami raczej się nie komentuje. Nie mówi się też o zmianie opiekuna. W końcu każdy mecenas, o ile pozostaje urzędnikiem, sprowadza się do roli pracodawcy, dosadnie wyrażonej tytułem prawnym — passez-moi l'expression — „organ założycielski”. Ważne, że pieniądze się znalazły, że dymisja Golińskiego nie została przyjęta, że remont będzie kończony. Że jest już pierwsza w tym sezonie premiera, że przygotowują się następne. W odnowionym od stóp do dachu teatrze mógłby istnieć prawdziwy salon krakowski — miejsce spotkań wszystkich sztuk przedstawiających. O planach konkretnych nikt nie chce jeszcze mówić, ale nazwiska, jakie wymieniali się szepem w gabinecie dyrektorskim zelektryzują na pewno wytrawnych teatromanów.

A teatr? Piękny jak bombonierka lub może raczej jak ciastko z kremem, budzi swoją odżywką urodą przyjazne rozczulenie.

— Ładny jest — mówi kobieta, która na Plantach przy ulicy Szpitalnej sprzedaje północzochy i skarpety — Zupelnie jak nowy!

Mężczyzna, handlujący obok kielbaskami z różną wzrusza ramionami:

— Odmalowali porządnie, ale po co to wszystko? Kogo dzisiaj obchodzi teatr?



DZIURAWY BUDŻET

W biurze prasowym wojewody określenie „afery” nie wywołuje entuzjazmu. Nie ma żadnej afery, nikt nie zdefraudował ani złotych, pieniądze wydawano mądrze i sensownie, w miarę potrzeb. Tyle tylko, że potrzeby zawsze były większe od możliwości budżetu państwa i uruchomionej awaryjnie rezerwy rządowej.

Budżet wojewody nie ma żadnych wpływów, wydać możemy tylko to, co otrzymaliśmy z budżetu centralnego. Dodatkowo istnieje tak zwana dyscyplina budżetowa, która nie pozwala nam — tłumaczy Maciej Bóbr — przekazywać pieniędzy z paragrafu na paragraf, czyli z jednej, ustalonej dziedziny na inną. Druga, nie mniej bolesna restrykcja, kłopotliwa, ale wymuszona stanem państwa jest taka, że co 10 dni minister finansów przesyła nam wykaz kwot, jakie możemy wydać w danym dniu. Nasze możliwości są więc ściśle limitowane.

Golińskiemu taka sytuacja przypomina historię pływaka, który utonął w płytkiej wodzie, ledwie metr od brzegu. Zdrowy rozsadek nakazuje znaleźć jakieś wyjście, jakieś pieniądze.

KOMPETENCJE I AMBICJE

Stanowisko miasta jest znacznie bardziej skomplikowane. W magistracie na sprawę teatru patrzy się przez pryzmat konfliktowych relacji z urzędem z ulicy Basztovej. Nikt nie kryje, że konflikty istnieją (choćby dyżurny problem: komunikacja miejska), nikt jednak nie kwapi się wskazać ich przyczyn. W Wydziale Kultury mówi się nieoficjalnie, że wojewoda zabrał miastu bardziej prestiżowe instytucje artystyczne i ważniejsze zabytki, także Teatr im. Słowackiego. Urzędnicy z placu Wszystkich Świętych na pytanie o teatr, odpowiadają: to nie u nas, teatry ma wojewoda. I dodają: ustawa kompetencyjna...

Oficjalnego podziału dóbr i kompetencji, dawniej należących do jednego urzędu, dokonała ustawa o samorządzie lokalnym (zwana kompetencyjną), oddając część spraw wojewodzie czyli przedstawicielowi administracji państwowej, część pozostawiając w gestii władz lokalnych. I tak z dziedziny kultury wojewoda otrzymał teatry, a samorząd biblioteki i domy kultury. Ten nierówny, acz arbitralny podział jest, jak się zdaje, podłożem konfliktu.

Potraktowano Kraków jak każde przeciętne miasto — mówi radna BARBARA BUBULA (Klub Samorządnej Rzeczypospolitej, Komisja Kultury) — I, co charakterystyczne, zastosowano politykę ograniczonego zaufania wobec władz samorządowych, w myśl przekonania, że na pewno powstaną samo-

WIZYTA

Jan Adamski

Barbarze Wiejowskiej

Akuratno w pasieczce był wtedy, pamiętam jak dziś. Lipiec jak się pa-
rzy. Udały na pożytek, nu że, a tu
pies czegoś hauczy i hauczy. Hawka
taj hawka.

Podszeł ja był wtedy do niego,
podbiegi złością nawet nie powiem.
Ty co durny stał, że tak warkoczesz,
taj warkoczesz? Wścieki się ty czy co?
Poszeł ty. Do budy. Nu już! Zamach-
nął się ja był ręką na niego, że niby
chcę bić nieprawdaż. Choć nigdy ja
w życiu na człowieka i na chudobę
ręki nie podnosił. A ten — ahi
na Ciebie, ty czego tak pyskiem dzia-
kasz taj dziaukasz — a ten krzyczy taj
jojczy po piemu. Patrzam ja, a tu za
bramą ludzie jakieś stoją. Cudze. Obce.

Ja do bramy. A one furt stoją i stoją.
Jużem ich miał zapytać, jużem jak to
mówią na końcu języka miał: A wy
tu czego przepraszasz państwo szuka-
cie? A one

— Gut morgen. Gut morgen, nu to
gut morgen.

Ale ja po niemiecku nich szprechen
zi dojez. One słowo po naszemu, zna-
czy po polsku, coś rzuci, ja po ich-
niemu coś piąte przez dziesiąte, nu
i po chwili niemałej, dogadali my się,
aż nas ręce rozboleli od tego gadania
byli, że to brat gospodarza, co to
bauerstwo kiedyś miał. A z nim jego
baba, córka i dwa syny.

Pytają one czy na obejście, podwórze
można wejść. Ta proszy bardzo. Czego
nie. Czego tu im bronić? Człowiekiem
to ono zawsze trzeba być. Ja sam też
kiedy jechał do swego domu i też pro-
sił czy można wejść i choć popatrzeć
chwilę. Taj przyjęli mnie nie powiem
jak trzeba.

Bity — niby proszę — mówię ja. Nu
weszli one. Cicho i delikatno. Grze-
cno. Poobchodzili całe obejście. Po go-

spodarsku zajrzeli wszędzie. Powie-
dzieli potem dankiszen, a że moja ba-
ba Józefka i córka Bogusia z pola
przyjszli, to one podali im ręki na
przywitanie, a czekoladę, papierosy i
długopisy ochwiarowali byli na pa-
miontki.

Nu i znowu dankiszen, dankiszen i
fiderzejn ma się rozumieć naturalno.
My to samo do nich. Furt bity i bity.
Elegancko jak na odpuszcie prawdaż.
A one się czegoś więcej nie ruszają
tylko stoją. W końcu baba tego starego
pyta mnie czy do szubty, niby do po-
kójów, można wejść.

Ja do niej. Dlaczego nie. Bity. We-
szli one do domu. Cicho jak cicho na
paluszkach owszem poobchodzili wszy-
stkie pokoje, a ona w jednym z poko-
jów mówi czegoś z płaczem. Ich hir
szlafyn, że niby tu spała kiedyś. A ja
jej wtedy tak jakoś odruchowo nu
machinalno. Und ject ich hir szla-
fyn i zaraz po tym chuliera czegoś po-
żałowałem był tych słów, że niby to
chcę wziąć jakiś na nich odwet. A ona
ta Niemka niby, może nawet tego nie
usłyszała, czy może udała że nie sły-

szy. Nu i one chcą odchodzić. Ja do
Józefki. Słuchaj... trza mało wiele im
dać pojeść.

Moja zrazu trochę niechętno, ale po-
wiedziała jak chcesz. A one nawet tro-
chę głodne byli, bo w miasteczku w
Chojnowie naszym remanent jak to
zwykle zrobili u nas w gospodzie. Ale
Józefka ruch ciuch, tudy siudy smaże-
nicy z jajek zrobiła. Kołociuchy naszej
podolskiej z sera i śmietany misę po-
stawiła na stół. Chleb też. A butelece
wiśniówki państwowej koniec lba skre-
cili my byli. Nu i nie powiem posie-
dzieli my sprawiedliwie jak trzeba.
I trzeba Ci wiedzieć, co w święta pi-
sujem do siebie nawet. A wtedy to
my sobie nawet na pamiontkę zdjęcie
zrobili.

Wyfotografowali się normalno. Nu
patrz, patrzaj. Tu w środku ja z tym
starym. Z naszej lewej strony moja
Józefka z jego babą. Tu wo nasza Bo-
gusia z jej córka. A po bokach te
brodate i wasate Jego syny. Niemcy. Z
wizytą widzisz czegoś przyjechali.

Perepelnicki park

(C.D. ZE STR. 3)

gdy! Na lekarstwo! Za to całe osypi-
ska mieniących się, pijanych różanym
olejkiem chrząszczy... Kwitła do głę-
bokiej jesieni, tak że nieraz, jej ostat-
nie kwiatami oblepione gałązki, otrzą-
sało się ze śniegu, aby ją samą uskub-
nąć... Nikt jej na zimę nie okrywał.
Wcale tego nie wymagała... Toteż była
ukochaniem pań domu, ogrodników,
kucharek i gospodyń... Do owocowych
gusł bowiem nie trzeba jej było
„obierać”. Cały jej plątek był tak sa-
mo słodki, bo nawet „dzióbek” płotka,
delikatny i żółtawobiał, nie tał w so-
bie wrogię konfiturze goryczy. I jakie
złota zapachem! Za życia i po śmierci!
Najmocniej kiedy się ją tarło „na ży-
wo”. Po prostu — na cały dom! Długo
tylko trzeba było rozcierać z cukrem
w makutrze jej skrzydła, surowe
płacki — w kółko — w kółko — w kół-
ko — i dopiero kiedy się przestawała
lepić do ścian miski i zaczynała cho-
dzić za wałkiem nalepioną nań gru-
dą różanego masła — można ją już by-
ło bezpiecznie składać do kamiennych
garnek. Trzymała się „latami” — a
nawet lekko scukrzona, zatrzymywała
kolor głębokiego amarantu i zapach
„prosto z krzaka”.

Nigdzie i nigdy nie natknęłam się
na TEN jej gatunek. Rozprowadziło się
ją za to po różnych rodzinnych adre-
sach (Goszyce — Medyka — Odnów —
Koziniec), ale dziś niestety już tylko
na Koziniec jest nam jeszcze dostępna.
Ta sama! W prostej linii prapra-
wnuczka tej najdroższej, perepelnic-
kiej róży do smażenia.

No i tak — tymi czarnymi, jaśmi-
nem czy różą obrzeżonymi ścież-
kami — floresami ścieżek — mi-
fajac pomniejsze kraglaki lip, wielkie-
go bukta, grupę starych jesionów i róż-
nych wiekowych, liściastych przyja-
ciół — schodziło się ku niewielkiej,
cienistej sadzawce...

Nie bardzo właściwie wiem po co
tam była? Robiła wrażenie zapomnia-
nej i martwej... W jej nieruchomej,
ciemnozielonej powierzchni odbijały
się dość mizerne brzoški i wierzy-
tamtego brzegu... Latem zalepiały ją
przybrzeżne wodorosty, jesienią liście...
Była zupełnie nieruchoma, choć może
tam jakiś przepływ i był, ale się go
nie czuło... Kąt ten został mi w pamię-
ci jako przynębiający, rzadko przez
kogo odwiedzane dno parku, o żelazi-
sto-mulistym oddechu stojącej w cie-
nli wody. Tuż za zarostami tamtego
jej brzegu, szarzał wysoki, chruściany
plot, od południa graniczący tu bok w
bok z szeroką gminną już drogą.

Cały wschodnio-południowy nato-
miast kraniec parku, zostawiwszy za
sobą różne agrestowe uliczki i coraz
śmielej napływające tu warzywne
grządki — pod koniec całkiem jawnie
rozpływał się w sad... Uroczy „stary
sad” już nie mający z „nowymi ryzami”
nic wspólnego. Niski, stary sad,
w którym zawsze najmocniej pachnia-
ło jabłkami... Może dlatego, że od wia-
tru krył go tu „kieszonkowy”, świerko-
wy laszek? W ogóle był to taki zaczo-
wany kąt ogrodu, gdzie nos miał naj-
większe używanie. Bo to i żywica, i róż-

za, i sad, i jeszcze z daleka — trus-
kawki... Szeroko na pochyłości rozle-
gane ich grządki, miały już w tej „nie-
oficjalnej” części parku pełne prawo
obywatelstwa, a wiadomo że same na-
wet grządki po truskawkach, długo je-
szcze pamiętają, jak się pachnie trus-
kawkami... I tą właśnie — słoncem na-
grzaną ścieżką, między ścianą świer-
ków a cukrową różą — dochodziło się
do parkowej kaplicy.

Nie była piękna. Ulepiona z czerwo-
nej cegły, coś między jamniczym go-
tykiem a kompletnym brakiem jakie-
gokolwiek stylu w ogóle... Z tego też
wnoszę, że wyrosła chyba pod koniec
XIX wieku dopiero. Z czasem na
szczęście pnąca róża i spora jarzębinka
maskowały jakoś te braki... Wnętrze
powszechnie i proste. W ołtarzu obraz
Matki Boskiej Częstochowskiej nie ma-
lowany, tylko en bas relief — grube
złożony gips, z wtopionymi wewnątrz
ciemnymi owalami twarzy i wąski-
mi listkami rąk... Boki ołtarza dREW-
niane (obawiam się, że w malowany
marmurek, ale nie przysięgnę). Dwie
ławki pod ścianami, dwa okna nad
ławkami i głucho bębniąca, kamienna
posadzka, której się dzieckiem trochę
bałam. Musiałam zasłyszec kiedyś, że
tam, pod spodem są trumny... Nad ol-
tarzem i nad wejściem okienka z miaz-
gą kolorowego szkła... Czasem można
było kraża takiego dotknąć ręką, jeżeli
go słoniec przesunęło nisko na ścianę,
czy aż na stopień ołtarza... Tylko już
zabrać go ze sobą się nie dało...

Nabożeństwa odbywały się tu rzad-
ko. Jedynie „prywatne” te majowe...
Olejów był parafia, ale ksiądz nie roz-
jeżdżał ze mszą św. co niedzieli po
okolicy, toteż za tamtych najdawniej-
szych czasów, kiedy polityka nie była
jeszcze wetknięta palca między wyzna-
nia — chodzilo się w niedzielę do cer-
kwi, Allah jest Jeden!

Największą paradę pamiętam tu już
za moich podlotkowatych lat kie-
dy bp Bandurski jechał na wizy-
tację powiatu. Jesień była wczesna i
pogodna, całe wnętrze kaplicy ocieka-
ło girlandami dzikiego wina o cudow-
nej winnej czerwieni... Tak luk trum-
falnej bramy, jak samo wejście do ka-
plicy przybrane jarzębiną, trzemieliną
i gęsto nagietkami przetykanym
świerkiem. Ks. biskup (infuła — pasto-
rał — i iskrzący w słoncu biało-złoty
ornat...) stojąc na wysokim progu ka-
plicy grzmiał złotoustie nad zneru-
chomiałą gęstwą chłopów, bab i dzie-
ci. Wiesz tłoczyła się nie tylko przed
wejściem, ale rozsądziła jak powódź
krzaki zarastające skłon wzgórką i
spływała w sad... Chyba od pogrzebu
babci Padlewskiej nie widziano tu ta-
kiej ciżby!

...Bo zazwyczaj było tu cicho. Naj-
wyżej natknął się na kogoś, kto na
pacierz wstąpił — w kamorami bzy-
czący i zawsze chłodny półmrok ka-
plicy. Drzwi zamykało się tylko na
noc i to nie jestem pewna, czy na
klucz?

I stała tak sobie biedna — więc bez-
pieczna — i patrzyła z wysokiego
podsygu w ów stary, rozścielający się

pod nią sad... Można ją było sadem
tym okrażyć i zając od strony gdzie —
niskim lukiem w fundamencie jej wmu-
rowane i zarosnięte dzikim bzem i tar-
niną — kryło się wejście do krypty.
Młczące i surowe. Cegła, wapno, żad-
nych napisów — nawet krzyża.

W kaplicy dopiero pięć marmuro-
wych tablic, ciemniało na ścianach.
Litery i daty złożone. Marmur czarny.
Prapradziadek Maciej — pradiadek
Jan i Tekla Pokutyńscy — Szymon
Padlewski i Melania Padlewska... Może
ktoś jeszcze — nie wiem — bo tablice
były tylko te... Przypuszczam, że trum-
ny trojga pierwszych, przeniesiono z
miejscowego cmentarza już za czasów
babci Padlewskiej. Za moich dziecin-
nych lat „najmłodszą” tablicą była
właśnie ta babcina, a jej pogrzeb osta-
tnim tu pogrzebem...

Dopiero w 19 lat później wejście do
krypty zostało ponownie odbite — dla
Julka¹.

Następnego, barbarzyńskiego „otwar-
cia” krypty i zabezpieczenia wszyst-
kich trumien, dokonała ruska ludność
wsi — jak bez mała wszędzie na za-
jętych przez Rosję polskich ziemiach.

Ale miejsca — na szczęście — nie
miewają przeczuć i wypadki, któ-
rych kiedyś — w przyszłości — ma-
ją być niemyimi świadkami, nie naru-
szają pogody ich „chwili obecnej”. To-
też poblizko grobowej kaplicy nie było
ani straszne, ani smutne... Pachniało
żywicą, sadem, truskawkami... W do-
datku do boku jej przytykała biega-
ca równolegle do pierwszej „ryzy” no-
wego sadu — uroczą, świerkowa alej-
ka... Była wąska, prosta i tak zima, jak
latem ruda wewnątrz jak wiewiórka...
Była jakby „na niby”, jak w gęstwie
krzaków przez dzieci wytopiony tunel,
który udaje, że jest „naprawdę”. Nie
wiem jak to inaczej określić? A prze-
cie tunel ten ciągnął się od południo-
wego do północnego bieguna parku.
Nigdy dlatego nie widzieliśmy się obu
jego wylotów równocześnie, choć tunel
był prosty jak lufa... Susz najniższych
gałązek wplatając się w siebie od lat,
tworzył jej boki i sklepienie, co im o-
tyle łatwo z czasem przyszło, że świer-
ki były ongiś sadzone tak prawie gę-
sto, jak palisada. Podejrzewam nawet,
że aleja ta była kiedyś po prostu
świerkowym żywopłotem, który uczul
w sobie wyższe aspiracje i „wylamał
w górę”. Co jakiś czas, pod rudą jej
ścianą tkwiła zielona od mchu ławeczka
i czekała cierpliwie na szukających
tu samotności poetów czy zakocha-
nych — cierpliwa, usługna, wyrozu-
miała...

A tuż zaraz — za tą rudą ścianą,
zeleniała pierwsza „ryza” nowego sa-

du... Ten „nowy sad” był już za moich
czasów wcale leciwym sadem i po je-
go wykoszonym dnie, spływały łagod-
ną pochyłością szeregi rozłożystych,
zasłużonych jabłoni...

W sadzie — zwłaszcza latem — jest
całkiem inaczej niż gdzie indziej... Nie
wiem dlaczego tak? Osobliwy, żerdzia-
mi popodpierany spokój stoi tu w
miejscu i czeka... Sad nigdy się nie
śpieszy. Sad wie, że jest sadem i ma
pełne poczucie swego dostojenstwa. To
znaczy — jabłonie i tylko jabłonie.
Może jeszcze od czasu tamtej raj-
skiej? — Coś wiedzą, coś pamiętają?
Któż zgadnie?

Ostatnie moje wspomnienie związa-
ne z „ryzami” pachnie mi do dziś wę-
dzonym przydechem suszarni...

Widzę głęboki wkop, nakryty długi-
mi, przewiewnie kładzionymi żerdkami
i warstwę rozsypanych po nich, w ta-
larki pokrajanych, surowych jabłek
„na susz”. Pod nimi, w jamie, kisi się
ogieńnek, dławiony narzucanymi nań
ogładnie chrustem, suchymi liśćmi i
słomą... Błękitne kudełki wyciskają się
przez kratę i rozglądzone łagodnie na
powietrzu, odchodzą w sad... Pachnie
gorzko dym i słodczy parujących od
gorąca jabłek... I cisza... I sad...

Stoję nad tą owocową kratą św.
Wawrzyńca i patrzę, jak na wilgotnym
jeszcze krażku — tuk obok mnie —
stał się właśnie — motyl. Jest duży,
brązowo-czarny i ma kolorowe obrze-
że skrzydeł. Zwiera je i rozwiera i, z
osobliwą, powściągliwą zachłannością,
wysysa jednym tchem ciepły, pachną-
cy, żywicielski sok, zanim mu go do
reszty nie wysysie słonco i nie wysuszy
ogień... Sliczny, od pyłu matowy, zdy-
szany motyl...

A zresztą — czy ja wiem? Może to
wcale nie motyl?

To mogłaby być także moja pamięć,
niesyta, natężona, tak samo zachłannie
wysysająca ostatek parującego na sło-
cu soku?

Może i pamięć... Nie wiem... Mniej-
sza z tym...

¹ Melania z Pokutyńskich Padlewska, wła-
ścicielka majątku Perepelnicki na Podolu,
cioteczna babka Beaty Obertyńskiej.

² Słimaki te sprowadził z Francji w cza-
sach napoleońskich Maciej Pokutyński (au-
torka wspomina o tym w rozdziale Dojone
Perepelnicki).

³ Juliusz Wojski, najmłodszy brat Obertyń-
skiej.

Beata Obertyńska

Historia i życie codzienne

Marta Wyka

Wielkie wydarzenia historyczne minionych epok mówią do nas na ogół za pośrednictwem podręczników. Uczymy się przelomowych dat i faktów, poznajemy wybitne osobistości, wgrzamy się w dialektykę sporów, które zmieniały oblicze świata i życie narodów, rysując śmiało projekty przyszłości, śledzimy linie przelomów, konsekwencje zamachów, niezapomnianych przemówień, budzących dreszcz emocji konferencji. Historia rysuje się nam jak wspaniała powieść przygodowa, ale postrzegamy ją z pewnego dystansu, którego skutki psychologiczne bywają różne. Chociażby nie wiemy jak krwawa i bezlitosna, budzi historia naszą cichą zazdrość. Dawne czasy, te, w których nie braliśmy udziału, jakież one podniecające! Dalibyśmy wiele za to, aby dotknąć tych epok, w których załamywały się z trzaskiem ściany starego ładu (jakikolwiek by on był), zaś ludzie prowadzili życie obfitujące w atrakcje różnego autoramentu. Jest to, jak myślę, pozór i złuda.

Wzór życia codziennego nie musi bowiem podlegać modyfikacjom pod wpływem historycznych szturmów, historia może szumieć tuż obok nas wartkim nurtem, a my będziemy kontynuować wciąż ten sam model życiowych czynności. Kiedy przetaczały się powstaniowe burze, większość polskich dworów nie zmieniała ustalonego od dziesięcioleci wzoru życia codziennego, chyba że zmusiły je do tego okoliczności. I nie miało to chyba nic wspólnego z lepszym lub gorszym gatunkiem patriotyzmu. Po prostu historia nie nadaje się do życia codziennego. Jest tworem wyhodowanym pieczołowicie przez nasze stulecie, jest być może demonem, którego próbujemy bez skutku oblaśkawić i zmusić do tego, aby jałł nam z ręki. W epoce rozpanoszonego historyzmu nieprzystojne wydaje się zaleganie na peryferiach zwyczajnego życia. Oni tam zmieniają konstytucję, a ja plewię grządki i marnuję warzywa! Oni tam obejmują stanowiska, a ja wciąż poza hierarchią! Oni tam przebudowują Europę, a ja czytam książki niekoniecznie aktualne, ale może właśnie dlatego ponadczasowe! Presja uczestniczenia w historii potrafi być bardzo silna i bardzo wartościująca jedno-

ześnie, zaś świadomość wyrzucenia poza jej krąg wyjątkowo bolesna. A przecież fikcja uczestnictwa w historii to jedno z wielkich złudzeń naszego wieku. To jedno z pożądań, które nie daje się spełnić.

żyć można wyobrazić sobie równie spektakularne zakończenie wieku, niż to, którego jesteśmy obecnie świadkami. Kiedyś te wydarzenia podległy opisowi w tonie namiętnym, nawet w podręcznikach, szalone i niespodziewane fakty będą się nawzajem poganiać, w uczniowskich głowach zacznie powstawać informacyjny szum wskutek naporu historycznej wiedzy... Natężenie historyczności jest bowiem teraz równie wysokie, jak za Rewolucji Francuskiej, Napoleona, Wiosny Ludów czy I wojny światowej. Chcielibyśmy zatem, aby historia i nas wciągnęła pod swoje skrzydła, dała posmakować gorączki wieców, perfidii wydawania ustaw, rozkoszy zwycięstwa. Czyżbyśmy byli tylko jej mierzwą? To inni spożywają owoce historycznych tumultów, a nasze życie codzienne niewiele w gruncie rzeczy się zmienia. Ale tak chyba było zawsze. Życie codzienne rozmija się z historią, bo jest od niej emocjonalnie różne. Historia budzi nieustanne namiętności, w życiu codziennym tylko czasem da się żyć w zgodzie z namiętnościami. A jednak zazdrościmy tym, którzy tkwią w oku cyklonu. Historia bywa też grzechem, albo inspiracją do grzechu. W jej imieniu dwudziestowieczni intelektualści dokonywali wielu wykroczeń umysłowych, historię przywołując jako świadka obrony i spowiednika. Więc może pozostaniemy bez żalu w naszej codzienności, skoro demon historii naszym dał się oblaśkawić? Obserwatorzy przypadków historycznego świata, możemy, pomiędzy kolejnymi kataklizmami, hodować pomidory i strzyć trawniki. Historia obejdzie się bez nas.

TEATRZYK RYSUNKOWY



ALEKSANDRA PIENKA

HYDE PARK czytelników

Dzisiaj prezentujemy dwie poetyckie refleksje MACIEJA STELMACHA z Konstancina-Jeziornę.

stają
oniemiały
przede mną
świat
cały
ja tak
mały
kim będę
gdy dorosnę
będę
samolotem
samolubem
odludkiem

tykanie
zegara
nad ranem
monotonne
snu dobijanie
otwieram oczy
ściana
znów ta ściana
i raz
i dwa
i radio
i szarpanie
nieprzemysłanych
wczorajszych
początków

Camera Obscura

W wieczornym wydaniu Panoramy, w telewizji, w niedzielę 29 września, wystąpił nie przedstawiony z nazwiska młody człowiek, oburzony na Andrzeja Lapickiego za jego obawy, że przy obecnym traktowaniu kultury, sceny naszych teatrów porośnie wkrótce trawa, a na niej rozlegać się będą jedynie rockowe lomoty. Powołując się na święte tradycje muzyki rockowej (która nieprzerwanie przesługuje nas na każdej niemal krajowej fali radiowej, w telewizji, w salach widowiskowych, na różnych festiwalach, nie mówiąc już o dyskotekach itp.), powiedział na koniec: „Słowa piosenek rockowych bliższe są dzisiejszej publiczności niż wiersze Mickiewicza, i trzeba się z tym pogodzić”. Czyż, doprawdy, nie ma granic arogancji, czy wręcz bezczelności, czy — po prostu — głupocie młodych neobarbarzyńców? I czy główne wydanie telewizyjnej Panoramy jest właściwym miejscem dla szerzenia podobnych idiotyzmów? (el)

Witold Turdza odkrywa nieznane arcydzieła

W Konstancinie pod Warszawą oparło się zniszczeniu jeszcze wiele pięknych willi z okresu międzywojennego. W jednej z nich miało miejsce zwykłe na pozór wydarzenie: wyrzucono stary dębowy stół, który od lat stał na werandzie. I właśnie ten niepozorny, niezbyt ładny mebel, okazał się niezwykle. Jak opowiedziała jego posiadaczka, pani P., stół ten kupiła jej babcia w latach 30. od właściciela kawiarni „Ziemiańska” w Warszawie. W rodzinie nazywano go „stolikiem skamandrytów”, bowiem, wedle zapewnienia właściciela „Ziemiańskiej”, przy tymże stoliku mieli oni siadywać. Powątpiewano wprawdzie w prawdziwość tej relacji, ale nazwy używano.

W czasie powstania stolik posłużył m. in. do budowy barykady i ocalał — właśnie on — jako jedyny mebel z mieszkania babci pani P. Po wojnie znalazł się w należącej do rodziny willi w Konstancinie, gdzie początkowo stał na honorowym miejscu w salonie. Później jednak, gdy coraz bardziej niszczał (a nigdy nie był piękny), trafił do kuchni, wreszcie na werandę, gdzie dogorywał jako nikomu niepotrzebny, stary grząz. Często w czasie deszczu wystawiano na nim kwiaty, iżby je podłala deszczówka. I tak marniał. Któregoś dnia przegniły blat stołu złamał się i postanowiono go wyrzucić. I wtedy mebel zdradził swą tajemnicę. Między deskami blatu znajdowały się wciśnięte papierowe serwetki a na nich... wiersze. Czyje? Oczywiście któregoś ze skamandrytów. Wiele wskazuje na to, że są to utwory Antoniego Słonimskiego. Dalsze badania zapewne to potwierdzą a my — niezależnie od tego, kto jest

autorem wierszy — już teraz przedstawiamy je czytelnikom.

A stolik? Ten zapewne znajdzie swoje godne miejsce w Muzeum Literatury.

Antoni Słonimski

UPAŁ

Złociste słońce wyjęte z pieca
I lepka duszność knebluje usta.
Niebo strugami płomieni chłusta,
Fontanny błysków w szybach roznieca.

Wszystko jest żarem, lśnieniem, spiekotą.
Ulica mdleje bezwietrzna, pusta,
Pod niebem martwym jak biała chusta,
Co ziemi frędzlą sięgnęła złotą.

Miasto zamarło. W śnie grzaskim tonie,
Rzęsami liści bruki ocienia.
Cóż znaczą nasze gesty, spojrzenia,
Od których chłodem niechętnym wionie.

Słowem trwożliwą ciszę ogrodu
Mrozisz jak lustra z bajki odpryskiem.
Serce gorące, żywe i bliskie
Zmieniasz w nieczuły kawałek lodu.

MELODIA

Palcami tak przebiegasz przez gładkie klawisze
Jak strumyk po kamieniach perlistą kaskadą,
Schylasz czoło z mozaiką słońca na nim bładą
I dźwięcznym pianissimem drżeniem rękawisz cis-

Co wonną, duszną smugą na ręce się kładzie
I tak je oplątuje, tak zdradziecko pęta,
Ze nie wiem, czym się skończy melodia zaczęta —
Szaleństwem omdleń słodkich czy spacerem w sadz!

MATEJKO

Oczy przetarli znużone, nieogromny ciałem
Mistrz ogromnych obrazów. Tyle lat minęło,
A on wciąż, nieustraszenie, w męce tworzy dzieło,
Z tym samym co przed laty niezgasłym zapalem.

Ogniem płonie bolesnym swojej służbie wierny,
Nie obchodzi go styl, prąd i epoki.
Cóż, że słońce w plenerze przeświecila obłoki
I niebieskie cieniem pozabawionym czerni?

Niech już inni kapusty głowy na straganie
Biorą za temat albo pogwarki w altanie.
On woli czytać mądre o przeszłości księgi,
Potem purpurą chwały, wielkości, potęgi,
Małuje królów, książąt, bitwy i przysięgi.
Wśród nich żył, z nimi cierpiał i przy nich zostanie.

DEKADA LITERACKA — dwutygodnik kulturalny. Wydawca: Wydawnictwo „Gazeta Krakowska”. Spółka z o.o. Adres: 31-072 Kraków, ul. Wielopole 1, IV piętro. Redaguje zespół: Leszek Elektorowicz, Krzysztof Lisowski (sekretarz), Jerzy Lohman, Włodzimierz Maciąg, Jan Prokop, Bogdan Rogatko, Dorota Terakowska (redaktor odpowiedzialny), Teresa Walas, Marta Wyka. Współpracują: Danuta Abrahamowicz, Stanisław Balbus, Wacław Iwaniuk (Toronto Kanada), Stanisław Lem, Leszek A. Moczulski, Tadeusz Nyczek, Leszek Polony, Stanisław Rodziński, Marek Rostworowski, Jan Józef Szczepański, Wisława Szymborska, Lucyna Walas — redaktor techniczny.

Dyżur redakcyjny: poniedziałki środy godz. 13-14, tel. 22-09-85

Redakcja nie zwraca materiałów nie zamówionych i zastrzega sobie prawo do skró-
tów.

ISSN 0867-4094

Dekada Literacka

Kraków ■ 16 X—31 X 1991 r. ■ Dwutygodnik ■ Nr 32 ■ Cena 2000 zł

- Urbanowski o zdrajcy — Skiwski! ● Wspomnienia Beaty Obertyńskiej
- Poezja Nowaka, Żurakowskiego i Szarugi ● Przekład Barańczaka
- Wywiad z poetą ulicznym Maleńczukiem ● Felieton Wyki

Egzemplarz numer 24 (przedostatni)

Agnieszka Korniejenko

Głos LINA KOSTENKO we współczesnej, tak różnorodnej, poezji ukraińskiej brzmi ciągle dostatecznie silnie, by mówić o zjawisku wybitnym. Minęło ponad 30 lat od jej debiutu (*Prominnia zemli*, 1957); wydała odtąd 9 następnych książek, z których żadna nie dotarła w całości do Polski. Jeśli pojawiły się wybory, to wierszy nie najważniejszych. Jeśli tłumaczenia — to nie firmowane nazwiskiem rzeczywistego autora przekładu (myślę o tłumaczeniach Wiktora Woroszyńskiego opublikowanych w 1978 roku pod nazwiskiem jego kolegi Józefa Wackowa).

Cieszyć powinien więc fakt, że możemy dziś sięgnąć po dwujęzyczny wybór *Wierszy*, przygotowany przez ALEKSANDRA ZIEMNEGO. I cieszyłby gdyby nie dwie okoliczności. Po pierwsze — książka, którą mam przed sobą, właściwie nie istnieje w obiegu czytelnictwa. Wydana

sze trudno uznać za reprezentatywną dla całej twórczości poetki. Kłopoty z doбором utworów są w zasadzie mankamentem każdej antologii, która chce ogarnąć tak szeroką perspektywę czasową (1957—1987). Zobowiązuje to jednak autora wyboru przynajmniej do datowania tekstów. Tymczasem całość ułożona jest w porządku nazwisk kolejnych tłumaczy: Leszka Engelkinga, Józefa Wackowa, Wiktora Woroszyńskiego i Aleksandra Ziemnego. W ten sposób nie wiadomo, czy to układ chronologiczny — stąd wynikałoby, że materiał do przełożenia podzielony został mechanicznie; czy też jest to układ autorski — lecz wówczas linia rozwojowa tej poezji została całkowicie zburzona. A może układ odzwierciedla tylko prywatne gusta autora wyboru. Posłowie o tym nie informuje.

Kostenko, w końcu jednak tłumaczona w Polsce wcze-

je na druk. Krzywdzi bowiem autorkę oryginału i zafałszowuje jej liryczny wizerunek. Tyle zastrzeżeń generalnych. Swoją drogą ciągle jeszcze pozostaje w sferze pobożnych życzeń zaznajomienie czytelnika polskiego z szeregiem znakomitych nazwisk ukraińskich twórców, by wymienić choćby Wasyla Stusa czy Emmę Andijewską; nazwisk znanych już na Wschodzie i na Zachodzie, a w Polsce ciągle obcych...

Ze jest to świat ciekawy i daleko odbiegający od tego, co wyobrażnia literacka zwykła łączyć z Ukrainą, tradycją kozackich walk, motywem wędrowców-bandurzystów — z Ukrainą „poezji konia i pędu”, o tym przekonuje Lina Kostenko. Trzeba przecież pamiętać, że poezja ta, zdążywszy przejść przez drugą połowę wieku poprzedniego i pierwszą obecnego, dotarła dziś do momentu ważnego, o ile nie najważniejszego dla niej samej. Dla narodu pełnił nadal na wskroś romantyczną funkcję skarbnicy pamięci na przekór nowym mitom, zmyśleniom i zafałszowaniom historii. Ale pieśń i legenda są także znakomitym pretekstem do poetyckich przetworzeń, do natychmiastowego ożywiania w słowie, w ruchu i geście postaci, jakby się zdawało, już dawno usuniętych z pola historii. Tak dzieje się w *Powrocie Szewczenki*, tak w opowieści o madrej Oldze z *Tryptyku drewnańskiego*, tak samo w wierszu-przypomnieniu o rzece Poczajnie:

I tylko stare wierzyły

wiedza jeszcze:

to w niej Kijowian chrzczono,

a nie w Dnieprze

(tłum. W. Woroszyńskiego)

W jakich okolicznościach, w

jakich powstawały te

wiersze. Autorka, wpraw-

dzie nie więziona, przez wiele

lat była jednak uznawana za

nie istniejącą i w ten sposób

karana z powodu swoich wy-

stępów w obronie praw naro-

dowych Ukraińców. Tym

ostrzej więc ujawnia bezkom-

promisowość swojego stanowi-

ska im więcej miejsce pozostaje

pułstych w ukraińskiej rze-

czywistości po nieobecnych i

skazanych na zapomnienie.

Czy nie przypomina to żywo

losów na przykład Anny Ach-

matowej?

Ta sama stanowczość w wy-

znaczeniu granicy między do-

bram a złem zadecydowała, że

w poezji Liny Kostenko czło-

wiek zaangażowany w histo-

rię nie może pozostać obojęt-

ny, lub moralnie nieokreślony

wobec dokonujących się

wtrwaw niemu rozstrzygnięć.

Jego postawa określana jest

„od wewnątrz”, ti od strony

Lina Kostenko

KLIMENA

Orzeł szponami wpijał się w ramiona,
dziobał wątrobę... Krew kipiła w żyłach.
A ty — Prometeusza wierna żona —
powiedz, Klimeno, jak ty wtedy żyłaś?

Na puszczy wiek swój można strawić cały,
oprócz korzonków nie znać innej strawy.
Lecz kiedy się zbliżałaś do tej skały,
widziałaś jego bok — rozdarty, krwawy...

Widziałaś, w ranę się wpatrując z dołu,
jak krew bez przerwy sączy się, czerwona...
Lży przetykałaś, wlokłaś się do domu,
żeby utulić swego Deukaliona.

Żyć mimo wszystko, czekać... i żyć dalej,
gdy za plecami ktoś się znów zaśmieje:
— To ta, co, wiecie, męża ma na skale!
Coś ukradł, mówią. Znaczy — jest złodziejem.

ETIUDA ZIMOWA

Chodziła jabłotka i pukała do okien —
od rzezi spychaczowej ocalała samotnie.
Po karczowisku wodziła zrozpaczoną wzrokiem,
właściciela swego w każdym szukała oknie.

Ale jak go znaleźć, tyle tych okien,
tyle wież betonowych spod ziemi wylazło.
I stała jabłotka pod kamiennym blokiem,
pies w garażu warczał paszczą żelazną.

Przełożył: WIKTOR WOROSZYLSKI



Lina Kostenko

— praktykowanym niekiedy zwyczajem — bez wiedzy i zgody Autorki przez — jak dotąd — wysokonakładowe wydawnictwo „Iskry” funkcjonuje na prawach rękopisu w nakładzie 25 (słownie: dwudziestu pięciu) numerowanych egzemplarzy. Nawiasem mówiąc, najnowszy wybór wierszy Liny Kostenko wydany w Kijowie w 1988 liczył 60 tysięcy. Po drugie — Wier-

szej, zyskała wielu znakomitych translatorów. Czy nie należałoby zatem umieścić w *Wierszach* poprzednich polskich wersji utworów? Lub konsekwentnie zrezygnować z tekstów przedrukowanych po raz trzeci, czwarty na rzecz tych, które nie doczekały się tłumaczenia? Z drugiej znów strony trudno nie odnotować, że wiele z umieszczonych utworów w ogóle nie zasługu-

pozwala mu pozostać bezwolnym wobec przemocy. Przemocy rozumianej zarówno jako pogwałcenie prawa do wolności, jak i uzurpacja wewnętrzna, poruszająca głęboko ukryte wartości osoby. Stanowisko jednostki w starciu z Losem, tym wielkim — historycznym, i małym — indywidualnym, wyznacza zawsze bezkompromisowa uczciwość. Decyduje to o możliwości postawienia znaku równości między etyką a pięknem, które w tym kontekście nabywa nadzwyczajnych praw do istnienia i stanowienia o obliczu rzeczywistości. Rzeczywistość uczciwa jest pięknem, skłama — nie może nim być. Świat zaś nie umie nikogo piękną pozbawić, przeciwnie — ofiarowuje je, aby na nowo wcielone zostało w słowa. Słowo ostatecznie zaprowadzić nas może albo w rejony milczenia, albo w okolicę poezji. Oba przypuszczenia są uprawnione. Bo milczenie w tym świecie to żywioł domagający się uobecnienia w sło-

wie: „Wiersz najpiękniejszy wciąż jest na wolności”, ale też: „śmietnik” słów zużytych, gdzie każde nowe wypowiedzenie obarcza obowiązkiem odświeżenia słowa starego:

Najgorsze słowa to słowa
milczące,
które się gdzieś po ciemku
przyczaiły,
gdy nie dostrzegasz,
skąd biorą początek —
bo wszystkie słowa były już
czyimiś.
(tłum. A. Ziemnego)

Tak rozumiane milczenie nie jest stanem naturalnym, lecz wielkim wysiłkiem, by nie powtarzać świata z cudzych ust wyjętego, aby nie popaść w ów bezmyślny krąg „powtórki piękna”. Stąd w poezji tej tyle starć i zakłóceń, stąd ciągle burzenie tradycyjnego porządku idiomów i pojawiające się napięcia między słowami, wziętymi z dziedzin co najmniej nieprzy-

(C.D. NA STR. 2)